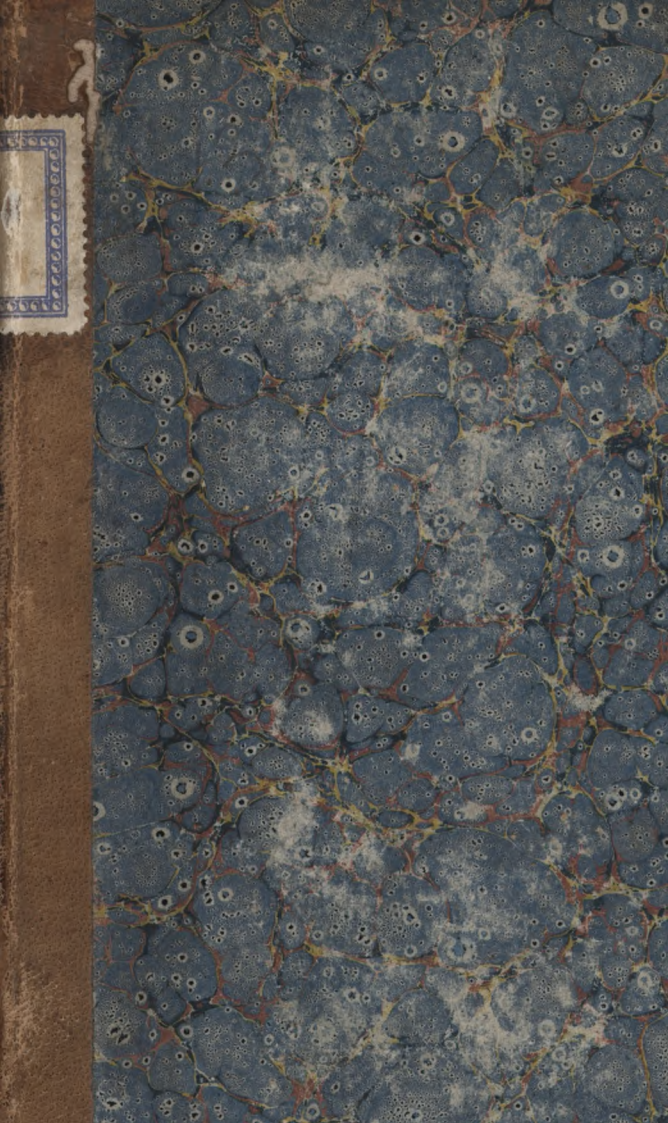




I. 35.

37



EX*LIBRIS

WOJEWÓDZKIEJ

I MIEJSKIEJ

BIBLIOTEKI

PUBLICZNEJ

IM. EMANUELA SMOŁKI

W OPOLU

L: 27

L: 27

Pamiętniki

KSIEDZA PSTROKOŃSKIEGO

kanonika katedralnego

Bartłomiej

Gnieźnieńskiego

z

rękopismu wydane

przez

EDWARDA RACZYŃSKIEGO.



JOZEF
REIMSCHÜSSL

W WROCŁAWIU,
nakładem Zygmunta Schlettera.
1844.

22

Pamiętniki

92
KSIĘDZA JÓZEFA JÓZEFOWSKIEGO
CZYTELNI



5027's

~~15421~~

Główny

92 : 943.8

Wydanie

EDWARDA RACZYŃSKIEGO

WYDAW

WYDAW



W WROCŁAWIU

nakładem Nympha Schönlank
1844

104
Akce VI Nr 13 / 68 / C



Wstęp.

W przedmowie do Tomu I^{go} Obrazu Polaków i Polski wynurzyłem myśl moją, że dla wykazania, jakiem było mniemanie publiczne i duch narodu Polskiego w XVIII^{m.} wieku, przenosić się należało myślą w publiczne i prywatne przodków naszych życie. W rozwińnięciu téj myśli, wydałem w poprzednich tomach niniejszego zbioru życiopisy ludzi sprawami publicznymi zajętych; dziś ogłaszam pamiętniki kapłana księdza Pstrokońskiego.

Inna jest barwa tego pisma, inna dążność jak w poprzednich tegoż zbioru pamiętnikach. Autorowie tamtych gromadząc opisy współczesnych dziejów narodowych przeznaczali je dla potomności. Ks. Pstrokoński zawsze bogobojny, zawsze ostrożny, a czasem i trwożliwy kapłan, nie troszcząc się bynajmniej o to, co się opodal niego działo, spisywał zdarzenia i stósunki swego życia dla własnej pamięci, albo téż dla użytku najbliższych krewnych, chcąc ich nauczyć, jakim sposobem przy wytrwałości, nauce i pracy, można się chleba dorobić.

Z natury rzeczy pamiętniki takie byłyby bardzo oschłe, gdyby los nie był zbliżył księdza Pstrokońskiego do osób, które w jego czasie ważne w kraju na-

szym zajmowały miejsca. Bez żółci więc w pokorze i miłości ewangelicznej opisuje on żywoty arcybiskupów, Łubieńskiego, Komorowskiego, Podoskiego, oraz biskupów Młodziejowskiego i Ostrowskiego, uważając ich przecież z jednej tylko, to jest z dobrej strony i nie wglądając wcale w tajne i wewnętrzne najważniejszych działań powody. Nagana rzadko kiedy wyśliźnie się z pod pióra księdza Pstrokońskiego; nieprzyjacielem jest tylko takich, którzy stanu, albo sukienki kapłańskiej nie szanowali. Na ten czas ów bogobojny kapłan oburza się nieco, i łaje tych, którzy w Lewicie nie czczą Jehowy.

Ciekawe to w mniemaniu naszém pismo z czasów Stanisława Augusta przy-

pomni nie jednemu z starszych czytelników
 naszych cechę już dziś podobno za-
 tartą staropolskich prostego ducha kapła-
 nów, rzuci niejakie światło na dzieje téj
 epoki, a pisarzom powieści wskaże podo-
 bno nie jeden rys zajmujący z życia naro-
 dowego Polaków w drugieć połowie
 XVIII^{go} wieku.

Wdyaawca.

Pamiętniki Księdza Pstrokońskiego.

ROZDZIAŁ I.

Pierwsze początki i wychowanie.

Opatrność Pana Boga wielbię, gdy moje życie opisuję. Odkrywając maluczkie pierwiastki stanu mego cnotą pokory, a głosząc podniesienie moje na kanonika Gnieźnińskiego cnotą wdzięczności, wieczne przeznaczenie pochwalam. —

Pochodzę z familiji, na którą, bądź prawo było sejniuku Siéradzkiego, bądź hasło powszechne niesło, „Pstrokońskini dóbr nieprzedawać, aby z nich szlachę nie wykupili.“ Z niej mówię urodziłem się, już znacznie na fortunie upadającj

roku 1713. dnia 1^o. Stycznia, we wsi Piekarach, z ojca Stanisława i matki Konstancyji Grodzyńskiej. Na wsi téj, zacząłem z bracią starszymi, Antonim (który wkrótce umarł), Andrzejem i Franciszkiem, pierwsze elementa nauk; potem z niemi do szkół pijarskich do Wielunia oddany zostałem. W krótce potem ojciec nasz w Masłowicach umarł, pochowany w Wieluniu u OO. reformatorów, jakoś roku 1720.

Matka moja, niech Pan Bóg świeci nad jej duszą, starała się ile mogła dzieci swoje, to jest: nas trzech synów utrzymować w szkołach u XX. pijarów i inspektora nam chować: mowię ile mogła, bo jej ciężko było wystarczyć na nas, i na czwartą córkę, siostrę moją Katarzynę, która potem została żoną Mikołaja Świecickiego, posesora wsi Świerczyńska. Taka szczupłość intraty, była przyczyną, że się musiało uczyć w ziemie, aż ręce puchły i nogi; futerko moje

najprzedniejsze było baranie skórki i łętwaliki; najprzedniejsza sukiénka z podłego sukna, albo kamlociku po złotemu; bót często łatany na po deszwach, a często nim gołe palce wytykały. Wikt był taki: śniadanie na smelce, obiad na kawałku mięsa, albo kurzyny, kawałku kielbasy z barszczykiem, a wieczerza na kaszy z skwíerczkami. Za świeczkę do czytania często szczépka, albo wągielek stanął. Kawalek séra i chléb, to najmocniejszy posiłek. Na to nie zważając, tęskniło się do szkoły, amatka dobra, gdy mię widziała dotkliwego na sukiénkę podłą, ma wiała mi często: „Chódź teraz w plachcie, będziesz potém chodził w hafcie.“ Co się zjiściło! W tym stanie ściśle trzymanego dzieciństwa, gdy mię używano w szkole do dyjalożków, do komedyji, do tragiedyji, do aklamacyji, do oracyji, nie ostatnim się było. Pijarowie wabili mię do zakonu swego, ale woli boskiej nie było. Co postrzegłszy ma-

tka i ciotka moja wyżej wspomniona, już poetykę kończącego w 13^m. roku, z Wielunia mię wzięły ze szkół, a do Krakowa do Michałowskiego, sędziego krakowskiego, oddały.

Ten Michałowski był to mąż sławny. Krzesel ofiarowanych sobie, a nawet województwa mazowieckiego nie przyjął, ale przy podstolstwie Krakowskiem trwał sędzią grodzkim Krakowskim, (lat mniej albo więcej czterdzieści) do saméj śmierci. W Krakowie pilnując jurysdyki, corocznie po trzy ćwierci roku wysiadywał w sprawiedliwości, tak cywilnej jak kryminalnej, nieskażony sędzia. O nim to słynie podanie z akt grodzkich Krakowskich wyjęte, że zbrodniów tysiąc bez kilku przez ciąg sędziostwa swego na śmierć skazał. Nikomu on nie darował, niezważając na żadne instancyje, nawet na żelazne listy. On górali zbójców przeplenił; drogi, karczmy ubezpieczył, miasto Kraków od nocnych

napaści, krzesów brukowych, pojedynków, kradzieży, uspokoił. W cywilnej sprawiedliwości, tak był prawy, iż panowie o kilkadziesiąt mil od Krakowa dobra swoje mający, w sądzie jego forum sobie ostrzegali: a jak osądził, już tego nigdy trybunały nie zmazały, ani poprawiły. U pacjentów na wizytach, traktamentach, niepostał, i samich do siebie nie spraszał, oprócz raz tylko w rok na imieniny swoje, na święto Ś. Józefa. To mu sprawowało wielkie poszanowanie i powagę u największych panów. Był nie przyjacielem pieniactwa, do którego porywczych, gromił. Byłem przytomny, gdy jeden ziemianin drugiego pozwał o „*turpia verba!*“ Pyta się sędzia: *Cóż to W Panu ten Imć powiedział?* Tamten odpowie z niecierpliwości: *Rzekłem mu, żeś „kiep“.* A odwołasz że to słowo? = *Odwołam.* = *Wyrzecz że: „mówilem to jako kiep“.* Usłuchał, i rzekł: „*mówilem to, jako kiep*“. Kontent zostałów

z takiej satysfakcyji: a tak piéniaństwo na śmiechu się skończyło. Wspomniany pan Michałowski był bardzo gorliwy o imie szlacheckie, i gniéwał się, gdy to imie brał na siebie, kto się szlachecciem nierodził. Sławny w akademiji Zamojskiej matematyk, zwany Michałowski, był pozwany do tego sędziego, że imie jego, rodząc się w kondycyi pospolitéj, wziął na siebie. Dokazał tego, że trybunał Lubelski, odsądził matematyka tego od litery „w“, i tak na potym nie pisał się już, tylko Michałoski. Ja ten trybunalski dekret oblatowałem w krakowskim grodzie. Do tego zmierzła następujący żarcik. Przyjechał do niego z Wodzisławia bliski, godny sąsiad, Lanckoroński, podkomorzy Krakowski. Ten bawiąc się z nim w pokuju, kazał zawołać do siebie sługę, i rzekł mu: „Zawołaj mi Michałowskiego masztalerza!“ W tym reflektując się, że to mówi w domu pana tego

który się tak zowie, rzecze: „Przepraszam Pana, że ten mój hultaj nazwał się Pańskim imieniem.“ „Nic to,“ odpowie sędzia, „bo i ja mam psiarka, który się nazywa WPana imieniem.“ Lanckoroński skoczy i rzeknie: „Niechże się tak psiarek nazywa.“ Na co sędzia: „a niechże się masztalerz WPana też tak, jak ja, nie nazywa.“ Poklaskneli sobie obadwa panowie, uraczyli się, i zgodali.

Do tego więc Michałowskiego sędziego na dalszą edukacyją wysłała mnie matka moja, boporządnego ile mogła, taką wyprawą, że wszystko co było na mnie i przy mnie, nie warto było złotych 80^{ciu}. Zawiózł mię do Słupi, dóbr jego, Złotnicki, cześnikowicz koronny z afektu, iż miał żonę imienniczkę moję. W tym domu kilka lat bawiłem, i z synem pana sędziego Michałowskiego Antonim szkoły odbyłem; potem do Krakowa z państwem i całym dworem, na sądy i mieszkanie przyjechawszy, cho-

dzilem z tymże synem jego do akademiji. W takiem z nim koleżeństwie wielki mię wstyd spotkał. Z swywoli między dzieciuchami, wspomniony Antoni Michałowski, jako panicz dał mi kartę, którą mi zapisał dziesięć tysięcy złt. Ja tę kartę za nic mając, przyjechawszy do Krakowa, porzuciłem; ale ją ktoś podniósł, i oddał sędziemu. Loco satisfactionis, kazał mi wyliczyć profesorowi przy sobie trzydzieści dyscyplin.

W nieprzytomności państwa w Krakowie, trzymałem rozchód stołu naszego studenckiego, do którego należał profesor, dwóch nas dzieciuchów, sługa, hajduk i kucharka. Piec w izdebce naszej, marmurem wysłanej, na najtęższe mrozy trzeba było na dzień (cóż to na Krakow) szczépkami dębowemi za „6 groszy“ opalać. Od zimna przejęty, spadłem ze schodów, rękę lewą w ramieniu wybiłem, którą baba, z chlebem pod kamienicą siadająca, uléczyła.

Odstąpiłem trochę potém szkół, i samemu sędziemu asystowałem. Była to dla mnie pora twardsza nad zakonne reguły i służbę wojskową. Ślepieć we dnie i nocy nad piórem, w Krakowie rejestra trzymać wydatków, a po dobrach wymierzać zboża po spichrzach i rachować i zapisywać po sadach drzewa urodzajne, i drzewka najmniejsze; a po łąkach i po zapłociach (w kraju bez drew) krzaki i wierzby rachować, inwentarze opisywać, stajnie, obory, na zimę otwierać, a na wiosnę spisowaniem zamykać:—było to wszystko moją profesyją. A trafiało się, że palce kośniały od pisania, kiedy było potrzeba folijały przepisywać. I lubo ten pan miał zawsze po trzech i czterech przy sobie młodych paniczów na respekcie, a dworskich po dwudziestu; jednakże ci wszyscy nie byli używani do żadnej prawie roboty, tylko dla asystencyji. Łatwo było pojąć, że ich tyle trzymał, albo dla powagi sędziowskiej,

albo dla bezpieczeństwa od najazdów złych ludzi, którzy cierpieć nie mogli, że ich dekretami swemi na tamten świat expedite wysyłał, a to przez kąt imieniem Józefa, tak jak sam sędzia był Józef. Kusili się oni na niego podrzucanemi paşzkwilami, satyrami: a on na złych ludzi miał rajtarów dwónastu z unteroficerem i kilku hajdukami. A ten cały jego liczny dwór nie nigdy nie robił, a ja sam jak kamień młyński w ustawicznym bylembrocie. Nadto, chociaż ten pan pełno miał usług, jednakże w chorobach jego musiałem ja najpodlejsze mu czynić usługi i pościółką moją wycierać przy nim podłogi. Taka jego wola była; a to czy dla tego, aby mnie miał zawsze pod ręką do pisanja, czyli téż dla tego, abym się na obyczajach nie zepsuł. Jedzenie bywało dla mnie całę łapczywe, tak żeby go był jaki krokodyl nie jadł; i grosza téż do kieszeni mi nie dawano, jakbym

zostawał w obowiązku ślubu ubóstwa. W tej ścisłości jakbym należał do sekty greckich stojików, to jest: jakbym uczucia niemał: wszystko bez najmniejszego sarknienia wytrzymywałem.

ROZDZIAŁ II.

Powołanie do stanu duchownego.

Tu się powołanie moje do stanu duchownego zaczęło okazywać. Za czasów cnotliwych miały to sobie domy za błogosławieństwo, kiedy w krwi swojej znajdowały kapłana, a ja ich w domu mojim, Pstrokońskich, znalazłem czterech. Pomnożył zaś Pan Bóg błogosławieństwo nad tymże domem, gdy mnie piętego, choć najniegodniejszego powołał na kapłaństwo. W tej więc wokacyji, którą tajilem, proszę sędziego, aby mi pozwolił matkę moją nawiedzić. Pozwala i wyprawuje mię na podjezdku i na tę

podróż daje mi kilkanaście złotych *Viales*. Przyjechawszy do Kowarzyna matka mię z radością powitała. Zabawiłem u niój kilka niedziel. Po rozmowie o stanie moim przyszłym, wyprawiony do sędziego, powróciłem do niego do Słupi, gdzie ogłosiwszy mu wolą boską, powołującą mię do kapłaństwa, prosiłem go o abszyt. Zmieszzał się na ten wyrok, rzekł do mnie: „*Znać niechciałeś, żebym dzieciom moim krzywdy nie uczynił*“ — przez co dał znać, że mi myślał coś z fortuny udzielić. Nic mię to od rezolucyi powziętej nie cofało, więc nalegałem o odjazd. Tak zatém kazał mi położyć sukiének i szabelkę cienko wśrębko oprawną zostawić sobie i oddać do swego skarbcu, mówiąc: że mi to dał nie dla mnie, ale dla swego honoru. Wszystko więc mu zostawiłem. Dał mi zaś na odprawę szkapsko, starego srokatego ogiera, za którego w domu złt. 20. wziąłem, a na którego mój sługa

w jednym maseczniku wszystko mój majątek i d est bagaż wtoczył, a na Viales dał mi sędzia bodaj kilkanaście złotych. — Oddawszy zatem pożegnanie państwu przypłakującemu, familiji ich i licznemu dworowi, ja przy szabelce prostój wsiadłem, na konia, odjechałem, i przybyłem do matki z równą jej i brata, jak przedtém, pociechą. Jak prędko nadszedł czas otwarcia szkół po wakacjach, udałem się do Kalisza, gdzie dla przypomnienia sobie retoryki, słuchałem jej blisko rok. Pod nadeszłe wakacje, oporządziłem się po księsku i zabrałem się do Gniezna, do seminarium na fundusz, gdzie gdy nie było biskupa do święcenia, trzeba było pojechać do Łowicza: a że nie można być w tym życiu bez przeciwności, zaraz ja ich doznałem w początku biegu do mety mojej. Najęty koń w Gnieźnie w tę moję podróż tak był leniwy, że się ledwo z miejsca chciał ruszyć. Ja tłukę, żgam,

bije szkapsko aż do zmordowania, a on ledwie nogi podnosi: szczęściem nadjężdża mię chłopiek ze wsi opactwa Łędzkiego i patrząc na moje zniszczenie ową jazdą, uzalił się na demną, kazał mi wsieść na swego konia, a on osiadł mego. I tak przecież zawlokłem się do Kaweczyna, do dworu matki mojej zdumiałej i łzami zalanėj, żem się tak źle wybrał. Wypocząwszy tam sobie, posłała mię matka do Łowicza, gdzie stanąwszy, przyjąłem tonsurę i mniejsze cztery święcenia (*minores ordines*) od Trzcńskiego, sufragana Gnieźnieńskiego, a to roku pańskiego 1733. w kolegiacie Łowickiej. Podziękowawszy P. Bogu za te pierwsze znaki kapłaństwa, zabrałem się na powrót tąż samą drogą, i przybyłem do Gniezna. Jąłem się żywo zaczętego seminaryum pod X. Franciszkiem Więckowskim profektem, którego mogę nazywać śmiało sługą bożym i człowiekiem światobliwym i uczonym.

Zabawiłem w seminaryum pod tym godnym przełożonym i nauczycielem, kontent z mieszkania, z wiktów, obowiązków seminaryjskich, bez najmniejszej przykrości, ale z słodyczą umysłu i serca od 1^{go} Września 1733. do 1^{go} Lipca roku 1734^{go}. A lubo kapituła Gnieźnieńska, prałaci i kanonicy mieli oko na mnie i chcieli mię przy katedrze utrzymać i na ten koniec już mi tytuł do kapłaństwa zapisali, że jednak jeszcze mi lat trzy do niego brakowało, postanowiłem te trzy lata odłożyć na nauki, któreby mię uczyniły sposobniejszym do służenia kościołowi. Jakoż w domu przez wakacje zabawiwszy, udałem się do szkół Kaliskich, w których przez lat trzy kurs filozoficzny traktowałem, i na osobności, w cichości ducha, obywałem się bez rozrywek i samej tylko książki pilnowałem. W ciągu tych nauk, przejeżdżając kanonicy Gnieźnieńscy przez Kalisz do dóbr kapitulnych Kamionki, zabrali mię

do niej z sobą dla jakiej w pisaniu pomocy. Trzymał na tenczas od kapituły te dobra Władysław Łubieński, kanonik Gnieźnieński, przyszedł arcybiskup i trzymał je kontraktem dzierzawy, przez lat dwanaście. W tej to Kamionce, przebywał pralat ten ludzki i bardzo od obywateli ziemi Wieluńskiej szanowany. Pisał on w tenczas, dzieło wielkie w dwóch tomach intytułowane „*Świat we wszystkich czterech częściach, jeograficznie, i historycznie opisany etc.*“, i dzieło to ofiarował i przypisał Augustowi III, królowi Polskiemu. Nad którą to pracą zastaliśmy go; a gdym go na tenczas pierwszy raz obaczył, i przypatrzył się jego wielkiej powadze, wspaniałości i urodzie ślicznej, zaraz o nim i potem częstokroć rokowałem „*Pewny nasz Prymas!*“ a teraz go zawsze nazywam i potomność moja nazywać powinna „*Mój Pan, mój Promotor, mój Dobrodziej.*“ Widzenie to moje pierwsze o-

soby jego, wystawiło mu na pamięć prapradziada mego Macieja biskupa, jak on familiją Łubieńskich w Macieju prymasie i w Stanisławie biskupie Płockim wyniósł, więc wdzięcznym być Pstrońskiemu we mnie postanowił, byle mu do tego okazała się pora. Roku 1736. po niezmiernych uléwach i powodziach nastąpił przyglódek i zaraźliwy przymorek. W owym czasie cmentarze napełnione były trupami, a plebani wystarczyć nie mogli dysponować chorych umiérających przy drogach, po chléwach, po stodolach lada gdzie, i tu i owdzie. Wskrzeszałem w sobie ducha kościelnego, którym się w seminaryum napojilem i ile mogłem wyprawiałem umiérających na wieczność przez akty wiary, nadziei, miłości i żalu za grzechy, z kąd się zaraziłem, i raz czy dwa razy ledwiemi nie przyszło umrzeć. W tym właśnie czasie znajdowali się w szkołach w Kaliszu dwaj paniczowie,

synowcowie Jana Lipskiego, kardynała biskupa Krakowskiego, to jest: Michał i Jgnacy, dziedzice dóbr Błaszczowskich.

Z tych dwóch Michał, lubo na ten-
czas dopiero piętnastoletni, już był pro-
boszczem kolegiaty Chockiej z przy-
czyny fundacyji familiji Lipskich sobie
służącój. Prałat ten młodziuchny bardzo
mnie pokochał i chciał mnie mieć w téj swo-
jój kolegiacie kanonikiem.

ROZDZIAŁ III.

Promocyja autora na kanonika.

Otrzymałem w rzeczy samój kanoniją
w Choczu w roku 1736. Jeszcze je-
dnak w tedy niemiałem do kapłaństwa
przyzwojitych lat. Gdy te nadeszły, u-
radowany w duchu, że otrzymałem kano-
niją w téj kolegiacie, o której to było
przysłowie że: „z kolegiaty Chockiej naj-
bliższa droga do niba“ zabrałem się na

odebranie święcenia do Gnieźna, gdzie na kapłaństwo wyświęcony zostałem. Powracając z Gnieźna, ściszałem głowy ludzi, jako kapłan nowy, i stanawszy u matki w Kaweczynie, zaproszony od państwa Gałęckich, starostwa Bydgoskich, w ich kościele prymicyje moje, to jest pierwszą mszą, odprawilem. Potych pierwiastkowych ceremonijach należało mi się zabiierać do Chocza do kolegiaty, i w niej odprawować obowiązki godności mojej. Gdy jednak po śmierci Augusta II. i obraniu Augusta III. dla zamieszek w ojczyźnie, fundusze kapituły Chockiej upadły, a przeto nie było z czego żyć przy kolegiacie, kazali mi konfratrowie radzić o sobie i starać się gdzie indziej o chleb, aż oto Stanisław Kożuchowski, czesnik Wieluński, dał mi prezentę na plebaniją w dobrach swoich, w Mokrzku. Był ten pan wielki statysta, dawny konsylerz króla Stanisława podczas emula-

cyji o koronę z Augustem II. i sekretarz jego gabinetowy. On to konstytucyje koronne, na kształt Herburta, zebrał i we wsi je swojój dziedzicznój w Mokrzku drukować kazał. A tak mając tę prezentę jużnie do Gniźna, ale do Łowicza po instytucyją jechać musiałem, abym się tam Potockiemu, księciu prymasowi zalecił. Na drogę nie było pieniędzy, trudno je było znaleźć w domu matki mojej, przecież znalazłem je u moiej ciotki Pstrokońskiej. Ta pani pierwsza była i ostatnia z familiji moiej do poratowania mnie w potrzebie; bo mi pożyczyła na drogą tę Łowicką czerwonych złt. pięć na moją kartę, ale nie mając z kąd ich oddać, mszami świętymi wyplaciłem się jój.

W Łowiczu prymasa i widzieć mi nie przyszło. A tak wzięwszy tylko z Łowickiego konsystorza komis na Wężyka, oficyjała Wieluńskiego, od niego

w Wieluniu na tę plebaniją Mokrzką
wziąłem intromisyją.

Obowiązkom mojim chciałem ile mogłem zadosyć czynić, nie spuszczając się na moich wyręczników: kazania miewałem, które później, jako już z genijuszem wieku terażniejszego niezgadzające się, wszystkie na ogień skazałem. W konfesyonale powinność moją pełniłem słuchania spowiedzi, i nie odsyłałem też do księży, kiedy mi dano znać do chorego, ale miałem sobie za powinność i za żniwo niebieskie samemu nieodwłocznie do niego pojechać. Trafiło mi się raz w dzień zaduszny podczas nocy bardzo ciemnej i słotliwej do chorego zaraz po północy jechać. Szkapa białą, na którym chłop przewodnik poprzedzał, jedyną była mi latarnią, bo inaczej uwiązłbym był gdzie w błocie. Trzeba było z powrotem się pośpieszać dla zadusznego nabożeństwa, czego tym łatwiej było dokazać, że chłopiek zmy-



ślił się być chorym. Do kościoła leni-
 stwo nie dało mu się ruszyć; chciał
 mieć więc w domu kapłana mimo krwa-
 wą téj nocy porę, nie żeby on go w ko-
 ściele znalazł. Bóg dał, że mię ten
 przypadek zmyślonego chorego nieu-
 czynił zbyt bezpiecznym w drugim przy-
 padku. Dają mi znać podczas lata w tem
 samem miejscu, gdzie poprzedzający.
 Pytam się, dawno zachorował? Wczo-
 raj dopiero, bo jeszcze wczoraj kozy
 pasł. Przyszła mi myśl, czy nie tak bę-
 dzie chory, jak pierwszy? Ale mi Bóg
 dał natchnienie wziąć z sobą i naj-
 świętszy sakrament i olej święty. Sia-
 dam więc na konia z tém wszystkiem.
 Z dyarnalika na koniu zaczynam paciér-
 rze mówić, powoli jadąc. Aż oto ude-
 rza mię myśl, żebym pośpieszał. Od-
 daję dyarnalik ludziom idącym do ko-
 ścioła, a sam prędszym ruchem jadę.
 Przyjeżdżam. Zsiadam z konia, do
 chałupy wchodzę i widzę chłopka sie-

dzącego przy piecu rzeźwego, a przynajmniej na pół tylko chorego. Słucham go spowiedzi, komuniją, na kształt wiatyku daję, i gdy myślę czy włożyć olej święty na niego, bom go widział rzeźwego); uderza mię natchnienie, że bym mu dał i ten ostatni sakrament, któryco tyłkom mu dał, gdy w bawełnę ocieram rękę z oleju S^ę i spojrzę na chorego, aż oto już nie żyje „*Jdźże duszo do nieba!*“ rzeknę, a ja powróciłem do kościoła na podziękowanie Bogu za ten zysk duchowny. —

W tymże czasie umarł brat mój Jędrzej, bez żadnego majątku i zostawił mi, jako stryjowi, synka Józefa, którego matka moja wzięwszy, osiadła z nim w plebaniji mojej, w Mokrzku, gdzie się chował póki go do Chocza, do szkoły kolegtiajy, nie przeniósłem. Ta matka nasza była pełna świątobliwości: modlitwą i postami żyła, nikogo w życiu słowem nie obraziła; miała od Boga dar

léczenia chorych, o kilka mil do siebie się uciekających, prostemi wódkami i mastykami, które robiła; chmury i nawałnice krzyżem Śm rozpędzała?

Pod czas posiadania mego plebaniji w Mokrzku, przybyła tam z licznym bardzo dworem wielka bardzo pani, żona księcia na Lubawicach, a potem żona Załuskiego, kuchmistrza koronnego.

Była ta pani między damami, co do urody, cud! a co do cnót, świątobliwości, dla wszystkich przykład i zwierściodło! i bawiła lat dwa w Mokrzku. Rad byłem mieć i widzieć tak godną parafijkę, ale w krótcie potem przenieśliem się na mieszkanie do Chocza; w przód jednak kościół moj pobiłem i posadzkę w nim położyłem, a w sercu mojim zostawiłem chęć przyłożenia się do reperacyji kościoła tego, jak przyjdę do lepszej fortuny, co też i wykonałem w roku 1784.

Matka moja kochana przenieśliła się do córki swojej, a mojej siostry, Katarzyny

Święcieckiej do Swierczyńska, gdzie jak sobie zawsze życzyła, krótko na śmierć chorować. Tak się stało; bo zachorowała 19^{go} Marca, w święto Ś^{go} Józefa, któremu to patronowi w ółtarzu, w kościele Mokrzkim łaskami słynącemu, całe się poświęciła, a dnia 25^{go} Marca, w święto zwiastowania Maryji Panny, opatrzona sakramentami SS., przeniosła się na niebieskie życie. Święta matka niech się za mnie modli. Pochowana w Rosprzy w kościele parafijalnym.

Gdy po krótkich w ojczyźnie zamieszkach pokój zajaśniał, zaraz tegoż roku 1737 zacząłem mieszkanie moje przy kolegiacie Chockiej.

Kanonikowi tam dochodu na dzień nie przychodzi tylko złt. trzy, a prałatom, jako to: dziekanowi i kustoszowi po złt. 3, gr. 12. bez pieniążka: są tam jeszcze prócz tego dystrybucyje funduszowe, aniwersarze i msze, ale za to mało co na rok na osobę przychodzi.

Z tego prowentu żyć za grosz, żeby wystarczyły na dzień złt. trzy, trzeba dobrej ekonomiji, aby się samo - czwart wyżywić: bo bez służącego, bez stangreta, bez usłużenia do kuchni, nie można się było obchodzić. Aleć o to wszystko myśl moja nic się nie zatrudniała, bo zawsze była na pogotowiu opatrność Boska: ta mi dała wystarczać i na własne potrzeby i na wychowanie synowca mego i na matkę i na plebaniją moją Mokrzka, o której powinnością moją było, nie zapominać. Instrumentem niepoślednim tej opatrności byli dla mnie państwo Linowscy. Miałem téż osobliwsze łaski u księdza kardynała Lipskiego i Potockiego, wojewody Wołyńskiego. Ten pan tyle miał względu na mnie, że mi przez umyślnego posłańca, z Podola do Chocza wyprawionego, ofiarował jakie tylko mógł mieć w wielkich swoich włościach najlepsze beneficium, że mi się oświadczył swoim ko-

sztem posłać mię do cudzych krajów. Ale tego dwojga nie było woli Pana Boga, żebym przyjął, że na ostatek równał mię w afekcie swoim z dziećmi swojemi. Otoż to były opatrzości Boskiej drogi i sposoby do pomocy, ratowania mię za szczupły chleb, którym się przy kolegiacie Chockiej kontentowałem, a o promocyje nie dbałem. Miałem sobie zadosyć z kanonika na kustosa, a potem na dziekana postąpić. Słodyczą mi było, do chóru chodzić, do którego idąc raz do dnia w adwent, spadłem z mostu na rzekę zmarzłą, ale w tenczas śniegiem pokrytą. Obbroniony od szwanku od anioła stróża, tylkom się strząsnął. Nie wracałem się do domu, alem poszedł na powinność moją do kościoła, tak łaska Boska słodziła mi wszystko, że przez wiele lat w téj kolegiacie, nic mi się nie przykrzyło, ani mi w myśli powstało miejsce to zmieniać. Ale wracając się wyżej do pierwszych

początkow osadzenia się mego przy kolegijacie. W pięć czy sześć lat z zagranicy powraca kochany, piękny, młody proboszcz, już Gnieźnieński kanonik, ksiądz Lipski, zastaje on w zdrowiu dobrym stryja swego kardynała Lipskiego w Kielcach; ale nieszczęśliwie w kilka niedziel doczekał się śmierci jego zaślęj na dniu Lutego 1746. Przybyłemu do Chocza, a odtąd Telemakowi temu trzeba mi było być mentorem. Ile więc mogłem pomagałem mu radą, kiedy się wyświęcił na kapłaństwo, a potem w lat dwa, czyli trzy, obranemu na viceprezidencyją trybunału koronnego pomagałem piórem i pracą do wszystkiego mu potrzebnego dobra, nawet do promocyji na opactwo Lubińskie, którego dostąpił po skończonej funkcyi viceprezidenckiej. J z nie mniejszą mu szczérością i przywiązaniem służyłem, kiedy później został prezydentem trybunału, a nakoniec sekretarzem W^m.

koronnym, a lubo już nie tak często jak przedtym go widywałem, z przyczyny postąpienia mego z Chocza na Łowicką kanoniją, jednakże częstokroć przebywałem u niego, w interesach mu pomagałem, z obopólną słodyczą i ukontentowaniem. Ta zaś uprzejma społeczność nie rozerwana była aż do jego śmierci zaszłej w Lubieniu dnia 8^{go} Stycznia, roku 1780. Kochałem go dla niego samego, nie dla siebie; kochałem po przyjacielsku, nie po niewolniczemu; nie starałem się o nie przez niego, a mogłem się starać o koadjutoryją jego opactwa, i dobrze się tak stało: bo kiedy na instancyje pierwszych panów polskich książę prymas Ostrowski trudzonym był do zapisania komuż-kolwiek koadjutoryji tegoż opactwa, znalazł dogodny kanał przezemnie i za instrument mnie sobie wziął do dania téj koadjutoryji księdzu Kazimiérzowi Lipskiemu, archidyakonowi kujawskiemu; jakoż czego wszyscy

dokazać nie mogli, stało się to dla niego. On został koadjutorem; a mnie pomieniony prymas został (jak listy jego do mnie świadczą) za tę robotę obowiązany. A takie moje oderwanie się od siebie samego, a przylgnięcie do jego dobra, ujmowało serce ku mnie Lipskiego, oboźnego koronnego, stryja jego.

Jeszcze tu o Choczu powiedzieć muszę, że temu miejscu winienem całą zasadę losów moich dalszych i dokończenie poniekąd mojego wychowania; bo w téj ciszy, oddalonej od rozrywek i zgiełków, cały się przyłożyłem do nauk i do czytania książek, które się w bibliotece téj kolegiaty znajdowały. Na nalegania przyjaciół moich wziąłem w ten czas koadjutoryją kanoniji Kaliskiej od księdza Skoraszewskiego, już ośmdziesiątletniego starca. Niedługo potem staruszek ten ustąpił mi tego miejsca, skończywszy życie w roku 1756.

Rokiem przed tą jego śmiercią, gdy

przez funduszową wieś owęj kanoniji przejeżdżałem, podobalo się Bogu zaprawić gorzkością te moją koadjutoryją, bo w Krzywinie na Piekłach (miejscu tak nazwanem,) konie mi się zbiegały, woziciel i służący z kolaski pospadali, a potłuczeni, niemogąc się z miejsca ruszyć, gwałtu! rata! wołali. Ja, tak dla poradzenia sobie, wyskoczyłem z niéj, ale nieszczęśliwie; bom nogę lewą nad samą kostką złamał, a konie w czwał poleciały i ostaje, lub więcéj, na krzaku zatrzymały się z kolaską. Leżę na ziemi skaleczony, bez ratunku, służący i woźnica mój gdzieś za mną jęcza. Uśłyszałem przecie ludzi rąbiących w krzewinie chróst, ze wsi Piątku; *Krzyczę, gwałtu! Ratujcie mnie!* naprzod bot, w którym złamane piszczele dwie dziury zrobiły, *ściągnijcie z nogi!* Ściągnéli—*szukajcie koni z kolaską!* Znaleźli i przyprowadzili: *Wsadźcie mię na kolaską!* Wsadzili. — *Wieźcie mię dla prę-*

kości choć przez pola do Stawiszyna (bo to było w granicach miasta tegoż.) Zawieźli dobrzy ludzie pluszczącego krwią kalékę w téj umysłu przytomności, że jadąc odmówilem pacierze moje na pamięć i złożyli mię w karczemie Stawiszynskiej. Uwiadomiony o tem P. Żołądkowski z Lipiego zaraz do mnie przybiega, felczer żyd, czech zawołany, przychodzi, układa koście połamane, porozchodzone, tak, że jak by w jakim worku strząsnione, klekotały; wsadza w łupki nogę i tak z łaski Boskiej robi wszystko doskonale, że temu pierwszemu opatrzeniu ocalenie téj nogi przyznaję.

Szwank ten stał się w Sobotę przed S. Trójcą. Nazajutrz rano dwóch kapłanów od tamtejszego kościoła nawiedzają mię. Zapomniałem, co to jest za dzień dzisiejszy; pytam ich się, cóż to wczoraj było? bo mię tak maligna całą noc piekła, że mi się zdawało cale jakobym w ogniach czyscowych od wie-

lu lat gorzał. W ten sam dzień S. Trójcy od rana, przyjeżdża pan Żołądkowski, kładą mię na wóz ciérniem wyłożony i piernatami, żebym się nie strząśł, i składają w Lipym, we dworze, gdzie byłem bez wszelkiego bólu i łagodnie opatrowany od wspomnionego żydka, a po wzmocnieniu nogi, w niedziel dwie, przybyli z Chocza ludzie, i na wielkiem łóżku przenieśli mię rękami swemi do Chocza, gdzie w pare tygodni wyzdrowiałem. Całuję rękę Boską, która mię wychłostała na kościach moich i na nich mię uzdrowiła, umartwiła i ożywiła.

Objąwszy zawakowaną z funduszem kanoniją roku 1756., puściłem wieś jej funduszową Gazewo w dzierżawę panu Żołądkowskiemu, z której mi co rocznie płacił po tysiącu złotych, za które mogłem przecie, przez lat dziewięć posesyi jego wypłacić się z niektórych dłużków, które byłem zaciągnął, i żyć przystojnie. Aż tu dowiadaję się o bracie

mojim rodzonym Frańciszkui, o którym ta jest rzecz.

— Brat ten we dwie lecie po oddaniu mnie sędziemu Michałowskiemu zalecony był Małachowskiemu krajczemu W^{mu} koronnemu dla poloru i fortuny, u którego bawił aż do jego śmierci; potém zaś nie wiadom nam było, gdzie się znajdował: bo przez wiele lat żadnej o sobie nie był dał wiadomości, tak dalece, żeśmy go mieli już za umarłego. Szcześnie dla niego, już to od lat czterech bawiąc przy kochanym panie mojim księciu prymasie Łubieńskim, roku 1765 dowiaduję się od kapłana, że mój brat żyje. Niedowierzam mu: „*Tak jest*“ od rzeka: *to brat WPana, boś mu podobny: — A gdzie mieszka? — W tój, a tój wsi; w ziemi Mazowieckiej — W jakim jest stanie? — W biednym. Ma żonę i dzieci, ale posesyi żadnej niema, tylko siedzi komora.*“ Westchnąłem na taką brata niedolę i napisałem przez tegoż kapłana do

niego bilet, aby do Warszawy przyjechał. Stawił się. Poznaje, że brat. Powiada mi, że ma żonę Franciszkę Gostyńską: już ma z nią troje dzieci, ale posagu nic. Nie miałem mu co dać, bom sam był potrzebujący; alem go z pociechą odsiebie ekspedyjował, gdym mu kazał na S^{ty} Jan w Kaliskie przybywać, dla odebrania w dzierżawę swoją, wioskę moją Gazowo, do kanoniji Kaliskiej należącą. Przybył nie zawodnie i po skończonėj dzierżawie przez pana Żoładkowskiego już teraz lat dwadzieścia i trzy posiada w pokoju tę wioskę. Nad tym artykułem zastanawiam się. Czyli mało miałem domyśli? Natenczas, kiedy pusto było w kieszeni, trzeba było radzić o synowcu Józefie i o bracie Franciszku z żoną i dziećmi, Ale Bog miłosierny wszystko opatrzył. —

Postępuję teraz do Łowicza. Pan mój, książę prymas Łubieński, tylko trzy razy mnie widział. Pierwszy raz, jak wy-

z jej namieniłem w Kamionce; drugi raz, jak przejeżdżał do Chocza; a trzeci raz, jak po arcybiskupstwie Lwowskiem postąpił na arcybiskupstwo Gnieźnieńskie.

ROZDZIAŁ VI.

Dalsza promocyja.

Skoro zawakowała po Jmć Kś. Awe-
dyku, kanoniku Gnieźnieńskim kanonija
Łowicka, tak zaraz pamiętny i dobro-
tliwy książę prymas Łubieński konfe-
rował mi ją niewiadomemu o zawako-
waniu jej. Odebrawszy nominacyją mo-
ję, osiadłem w Łowiczu, a często prze-
bywając u dworu, przykładalem usilnego
starania, abym pana mego dobrego mnie-
mania o mnie, nie zawiódł. Postanowiony
delegatem Curiae Primatialis, oprócz sę-
dziowskiej władzy sprawowania (któ-
rego jakem mógł unikałem, sam będąc
wart sądu) wszystkie inne części pole-
cone go mi urzędu, sprawowałem.

Posiadana tę kanoniją około pięciu blisko lat, na samo skinienie pana mojego bez najmniejszego na mnie nalegania, ustąpiłem chętnie kapelanowi jego, Kś. Szeliskiemu 1767. roku. W trakcie posesyji mojej kanoniji Łowickiej, dał mi pan mój z prezenty królewskiej probostwo Konińskie, ale gdy mi ciężarem było dla powinności plebańskich, więc zaraz we dwie lecie, wyreperowawszy pierwój kościół, rezygnowałem je bez wiedzy nawet pana mojego.

Nadeszła ostatnia epoka promocyji mojej, do której mię Boska opatrność przeznaczyła, a której kresu wymierzonego już się niegodziło przestąpić: roku 1765^o nie zabiegającemu, nie proszącemu, niespodziewającemu się nawet i nie przytomnemu, dał mi mój pan kanoniją Gnieźnieńską. W krótcie nazначył mię wizytatorem jeneralnym archidjakonatu Gnieźnieńskiego, który zaraz wizytować zacząłem. Akta Visita-

tionis w tomie wielkim in archiwo Capitularii potém złożyłem; od dalszych wizyt, przeszkodziłami vice-przezydencyja trybunału koronnego, na którą obrany zostałem pod łaską marszałkowską Antoniego Małachowskiego, kancлера w ówczas W^{ko} koronnego.

ROZDZIAŁ V.

Urzędowanie w trybunale koronnym.

Nie spodziéwałem się wcale zaszczytu, który mię spotkał. Książę, pan mój, z dyskretyj nad mojim niedostkiem niechciał mię jeszcze tak prędko na tak wielkie ekspensa wyciągać. Aleć ta opatrność Boska, która polnelilije przyodziewa i ptastwo powietrzne żywi, zaraz w tym razie wszystko mi dała, czemu potrzebował do utrzymowania się

na téj funkeyji. Bo najprzód tego samego czasu zawakowała kanonija dosyć intratna kolegijaty Ś^{go} Jerzego. Po tę prebendę leciały w czwał, jedne do dworu, drugie do prymasa, sztafety, które konfratrowie moi powysyłali. Tymczasem mnie niegodnemu, nieodważającemu się i prosić o nią, książę, pan mój, prezentę od króla przysłał: z tém większym podziwieniem, że jedna z tych cudzych powysyłanych sztafet, ekspedycyją mi na to przywiozła; co w zazdrosnych niechęć, w przyjaciołach zaś moich sprawiło pociechę.

Do téj tak znacznej pomocy na trybunał przybyło mi innych wiele. Książę, pan mój, spiżarnią moją z bogactw i piwnicę opatrzył. Dał mi i pieniądze, a przecież ja się temu dobremu panu mojemu o nic, a nic nigdy nie dopraszał.

Od mojej krwi żadnego wspomóżenia nie miałem, a jednak niczego mi nie brakowało. Obchodziłem się jakem mógł

ochrónnie, ale bo téż mieliśmy marszałka trybunału najludciejszego i najwspólniejszego. Jednakże i mój stolik nie odbywał się codzień bez kilku osób. Ludźmi téż nie zaprzatałem się; dosyć mi było do potrzeby i wygody jeden ksiądz, jeden asystent, dwóch lokaji, jeden hajduk, jeden kucharz i dwóch stangretów. U pacyjenta, pana znacznego, raz tylko na kolacyji byłem; u żadnego więcej nigdy nieostałem. Od balów i asambłów, jak odpowietrza uciekałem. Okoliczności przypadające w czasie funkcyi mojej w Piotrkowie te są znamiensze:

1^{mo} Że mię trybunał uczcił delegacyją do Warszawy do króla z rekognicyją zwyczajną.

2^{do} Że przez niedziel dziesięć, w nieprzytomności prezydenta, siedziałem przy kryżu.

3^{tio} Że się krwią nie oblał nikt z mojej

(i tak sobie życzyłem) funkcyji, a już prawie przygotowany miecz na kark obwinionego odwróciłem z takowój przyczyny:

Dysydent, żołnierz z garnizonu asystującego trybunałowi, na gospodzie tańcząc podpiły z dobytym i wyniesionym pałaszem, zawadził nim o sznurek, na którym wisiała lampa gorejąca przed obrazem Maryji P., i oberwał. Na odgłos tego trafunku wrzawa w Piotrkowie. Biorą żołnierza do kurdygardy, dodają, że nawet obraz ten, pałaszem przebił, i zaraz sądzą przed inkwizycyjami i dekretują „*Uciąć mu głowę!*“ Deputaci wszyscy niemal przez żarliwość ku wierze ś. tym samym brzmia echem. *Oto heretyk! oto bluźnierca! oto świętokradzca!* — *uciąć łeb takiemu niegodnikowi.* Stójmy! panowie, mówię ja, mówi zemną sam jeden P. marszałek. Przypadki złe najcnotliwszym się trafiają: nie trzeba je mieć za zbrodnie, śmierci godne; lam-

py upadek od obrazu, z przyczyny przeciętego sznurka od wywijającego pałaszem żołdaka, samemu przypadkowi, albo raczej nieostrożności jego przypisać należy: dziura zrobiona w obrazie usprawiedliwia obwinionego żołnierza; bo się okazuje, że nie jest świeża, nie jest teraz zrobiona, ale pewno kiedyś. Zaczóż tu potępiać niewinnego? Taka i dalsza remonstracyja przemogła niedyskretną żarliwość. Żołnierz od śmierci został wolnym, tylko ukarany za płochość i pijaństwo.

4^{to} I to warto jest noty. Dama z imienia godna, z fortuny bogata, męża (przepuszczam nazwiskowi) jeszcze mająca, na sprawę mężowską przyjeżdża na trybunał i siedzi blisko ćwierć roku w Piotrkowie. U niej kompanije, kolacyje, przesiadywania po całych nocach, deputatów, palestry i młodzi. Mało dla niej było wina z Piotrkowskich piwnic; trzeba je było sprowadzać z

Warszawy stema butelkami, a każda produkcie! Słyszę o tém wszystkiém: przeto kiedy mię wizytowała często, zawsze ja zimno przyjmowałem, i zaraz prędko od siebie zbywanój dawałem do wyrozumienia: że niepotrzebnie w Piotrkowie wysiaduje przeciwko prawu zakazującemu damom przemieszkiwać w trybunalach; że męża ekspensami swemini-szczy, młódź psuje, i. t. d., i że, choć jój tu nie będzie, niech pewna będzie wygranej, jeżeli ma dobrą sprawę, którą intentowała ta pani z mężem pewnemu wysokiemu pratałowi, a który spodziewany był zostać przyszłym prymasem (jakóż został). To zaś samo, w myśli téj pani i do niej przywiązanych trybunalistów, podejrzanym mię czyniło, że bardziej za stróną praelata, niżeli za stróną jój będę trzymał. Pomnożyło jój podejrzenia o mnie, kiedy wzywany od wielu kolegów, niechciałem jój odwieźć. A tym bardziej jeszcze z nastę-

pującój przyczyny. Przed odjazdem prezydenta z Piotrkowa, zliczną kompaniją znajdowała się téż ta pani u niego na traktamencie. Powstawali nie rychło od stołu, po którym, jednite, inși inne przedsięwzięli zabawy. Prezydent przynaglił mnie, abym ją kartami zabawił. Siedliśmy u stolika. Pani dobywa trzos dukatów; toż i ja. Stawia zaraz nagle całego dukata. Ja mówię: znaczymy się teraz markani, a po grze skończonėj porachujemy się. Gramy zatém. Pani ta, graczka wielka, czy to przez nieszczęście, czyli téż (com bardziej rozumiał), żeby mię sposobem politycznym do sprawy swojej ujęła i skorumpowała, znacznie do mnie, gry nieumiejętnego, przegraje, a jak czas przyszedł ruszenia się od stolika, rachuje kupkę markow przedemną leżących, dobywa trzosa z dukatami, liczy i przyplaca mi wygranę podług rachunku marków. Odsuwam jej napowrot pieniądze, mówiąc seryjo: „Ma-

dame, sędzia z pacjentami, grać nigdy o pieniądze nie powinien: grałem z nią o marki, a nie o złoto, więc jako swoje odbierz. Zawstydzoną w suspicyji o mnie zostawiłem, że jej sprawie będę przeciwnym; ale się omyliła. Odjechał prezydent, sprawa pod moim krzyżem przypada: po induktach i konkluzyi uznałem na moim sumieniu sprawę téj pani bardzo sprawiedliwą, i gdy jako pierwszy zaczynam notować, wszyscy deputaci nadstawiali z ciekawością uszu, aż usłyszeli przegraną owego wielkiego prałata, a wygraną téj pani i za zdaniem mojem wszyscy poszli. Ukontentowana pani, przychodzi do mnie, dziękuje za wygraną, i usłyszała na pożegnanie te, które przed sprawą wzięła odemnie, nauczki.

5^{to} I to się w trybunale stało. Biskupa senatora przypadła sprawa z ziemianinem. Kolega mój duchowny, deputat z pewnej kapituły, bardzo na mnie nalegał,

abym mu prezydowania ustąpił, chcąc sobie zasługę uczynić u tego biskupa przez wygraną dla niego, którą sobie obiecywał pewną. Ustąpiłem krzyża natrętowi. Przegrał sprawę sromotnie, nie żeby zła była biskupia, ale, że zaufanie o sobie i humor prezydującego, odraziło kolegów deputatów od zdań swoich za nim. Strofowałoby mię było sumienie o miejsca ustąpienie, za którym dobrej sprawy przegrana nastąpiła, gdyby mię dobra intencyja nie usprawiedliwiła. Inne wartujące pamięci szczególności nie zaszły za mnie w Piotrkowie.

O tém jednak zapomnieć jeszcze nie powinienem, że ca Boska dobroć powszechnie ze wszystkimi ludźmi zwykła czynić, że kiedy kogo powołuje na jaki urząd, nadaje mu łaski do sprawowania jego, tak i mniemniegodnemu, tworzącemu się przyjąć tę godność, opatrzyła to, żem ją wyprowadził bez zawsty-

dzenia się. Już mi obranemu na ten trybunał, książę, pan mój, dawał jeneralne oficyjalistwo Gnieźnieńskie i na nie już rozkazał pisać w kancelaryji swojej instrument. Ta wola prymacyjalna była piorunem na mnie lękającego się zawsze sędziowskiej władzy w najdelikatniejszym punkcie sumnienia, a to w sprawach rozwodowych, które już na ten czas wszczynaly się i mordowały sądy i trybunały duchowne; substancyjeszłacheckie niszczyły; świętokradztwa w sakrament małżeński wprowadzały, i drogę bitą na potępienie piekielne torowały, a to z saméj i jedynéj przyczyny bezecnych i skażonych kobiet: bo mężowie prawie nigdy, a jeżeli kiedy który, to ledwie setny mąż i to nie tak promowował, jako bardziej, iż musiał po-błażać na taki niegodziwy rozwód złéj żonie swojej. A to powietrze zajęło się nayıpiérwéj w wysokich familijach; od nich zaraziły się damy godne ziemiań-

skie; na ostatek to źle postąpiło do miast wielkich i małych, a nawet do ubogich chat. Więc trwożąc się być arbitrem takowych sporów, wymawiałem się panu mojemu od tego jeneralnego oficjalistwa i wreszcie odsunąłem się od niego. Niewiem czy politycznie? bo nie czekając na instrument z kancelaryji, wsiałem do powozu i tak mówiąc, uciekłem z Skierniewic. —

W krótcie potem umarł pan mój, prymas Łubiński. Śmierć jego była dla ojczyzny tragiczna: bo ten pan mój, gdyby był jeszcze żył, byłby może, przy pomocy Boskiej, przeszkodził rozbirowi polski. Była dla kapituły Gnieźnieńskiej szkodliwa: bo ten szczodroblivy na kościoły dawca, dokończyłby był fabryki kościoła swego Gnieźnieńskiego; a dla mnie opłakana: bo był i jest, póki żyję mojim dobroczyńcą, a stało się to dnia 21. Czerwca, roku 1767. że się w Warszawie przeniósł na wieczne ży-

cie dla odbierania nieśmiertelnej nagrody za zasługi, które dla Boga, kościoła i ojczyzny poświęcał w całym życiu: dobry ten kapłan, dobry urzędnik, dobry arcybiskup. Żył lat 64^{ry}.

ROZDZIAŁ VI.

—

O Prymasie Łubieńskim.

Pan ten mój po naukach mniejszych w ojczyźnie odbytych, polerował rozum swój w Rzymie, zwiędził całe Włochy, Franciją, Holandiją, Belgiją i państwa Niemieckie; mówił językami, włoskim, francuskim, niemieckim, tak dobrze, jak łacińskim i ojczystym. Scholastykiem będąc Krakowskim i kanonikiem Gnieźnieńskim, był z kapituły Krakowskiej deputatem na trybunał koronny. Wziął potem dziekaniją Gnieźnieńską, która po postąpieniu swoim na arcybiskupstwo Łwowskie, dostała się imien-

nikowijego Maciejowi. Prebendę zaś familijną w katedrze Gnieźnieńskiej odrezygnował Stefanowi, synowcowi swemu. Daléj potém, skoro poznano talenta pana tego, książę kardynał Lipski, biskup Krakowski, zalecił go Augustowi III. na pisarstwo koronne, które otrzymawszy ciągle mieszkał przy boku królewskim w Dreźnie, a to na własnym swoim koszcie, oprócz stancyji, drew i małego suplementu na kancelaryją. Zastępował niemal wszystkich w pracach ministeryjalnych kanclerza i podkanclerzego, co było go powinno posunąć wnet, albo na biskupstwo, albo do mniejszej pieczęci: a przecie i tę pieczęć wzięł przed nim Wodzicki, dziekan i oficyjał Krakowski.

Przecież nadszedł potém czas do nadgrody jego, w której został promowowany od króla na arcybiskupstwo Lwowskie, i zaraz w drugim roku na godność prymacyjalną. Tu uważam trzy łaski,

czyli przywileje: od Boga, familiji, Łubieńskich, szczególniej nadane. —

1^{mo} Że z domu tege dwóch było prymasów, to iest: Maciej i Władslaw, o którym mówię.

2^{do} Że obadwa Łubieńscy królów Polskich na tron konsekrowali. Maciej Jana Kaźmierza, a Władysław, Stanisława.

3^{tio} Że obadwa prymasowie Łubieńscy, rzadkim przywilejem niedozwolonym nawet Dawidowi, królowi w Jerozolimie, stali się jakby fundatorami kościoła swego metropolitalnego Gnieźnieńskiego. Piérwszy po zgorzeniu jego za Baranowskiego prymasa, i drugi po takimże przypadku. Tak tym dwoma prymasom można przypisać to, co po odbudowaniu Rzymu jednemu cesarzowi przyznaje historyja: „*Romam lateritiam reperit marmoream fecit.*“

Czyny zaś pana mojego, księcia Władysława, są te:

1^{mo} Co do pobożności, co dzień prawie, choć w skołataniem zdrowiu, mszą ś. w kaplicy swojej pałacowej, odprawiał. Częstokroć kleryków na kapłaństwo poświęcał; każdego roku rekolekcyje święte czynił.

2^{do} Co do rządów duchownych, troskliwie się starał, aby w gumnie kościelném odłączano plewy od dobrego ziarna, i odbierano plebanije niegodnym, a dobrym je dawano. Żadnego na beneficium cum cura animarum nie instytuowano, albo rzadko kogo, pokąd go sam prymas każącego niesłyszał, a to o miłości Boga i o miłości bliźniego; tak ta najpiérwsza chrześcijańska cnota ujmowała serce tego dobrego arcypasterza.

3^{cie} Co do Rzeczypospolitéj, wiernym jój był na wszystkich stopniach godności swoich. Nie unikał żadnych publicznych rad i sejmów.

Był wdzięcznym Augustowi III^{mu}, że go na prymacyjalną godność wyniósł.

Familiją tego dobrego króla i świętobliwój królowój bardzo i przywiąznie kochał; a jeżeli synowi Ich, królewiczowi Karolowi, osiągnięcie księstwa Kurlanckiego nie powiodło się, to samój tylko przemocy obcego dworu przyznać należy. Familji Poniatowskich, po śmierci Augusta, drogi do tronu ułatwił; ku obywatelom był ludzki. Słyszałem raz z ust jego godne prymasa słowa, które powiedział ziemianinowi nie będącemu u niego na objedzie przez jakąś nieśmiałość: *Panie bracie! Stół prymasowski jest stół dla szlachty.*

4^{to} Co do fabryk kościelnych, żaden prymas tyle nie zrobił, co ten Pan mój; bo na kościół swój Gnieźnieński zgromadziły, na reperacyją jego wydał sumę złt. polsk. 190,359.

Na tym nie dosyć. Był ten pan mój w przód kanonikiem, potem dziekanem w katedrze Gnieźnieńskiiej przez lat 33. więc ten najlepszy z prymasów niby żołąd

niby jakiś haracz za każdy rók posiadane go w niej stalum, po tysiącu złotych oddał, kiedy zlt. pol. 33,000. na reperacyją jej przez testament zapisał. Na dom dla wysłużonych kapłanów w Łowiczu materyjały, kilkanaście tysięcy zlt. kosztujące, zostawił.

Drukarni, tak wiele ekspedycyjom prymacyjalnym potrzebnej, prawie nigdy nie bywało; bo tylko raz jeden za Karnowskiego prymasa w Łowiczu się pokazała (jakem czytał w książeczce in parwo 8^{vo} de Casibus Moralibus tamże drukowanej), ale pan mój chcąc być dobru publicznemu użytecznym, drukarnią kilkadziesiąt tysięcy kosztującą, do Łowicza zaprowadził.

Roźciągnął dobrodziejstwa swoje do kolegiat: Łowieckiej, Łęczyckiej i Uniejowskiej. Kolegiata także Łuska, w której za młodu jeszcze był na probostwie infułackiem, uczuła łaski jego.

Parafijalne także kościoły w dobrach

prymacyjalnych, jedne popostawiał, drugie reperował i kościół w Opatówku przyozdobił, na pamiątkę pochowanych tam zwłoków matki swojej; gród w Łowiczu, na sejmie wyrobił, żeby prymacyjalna prerogatywa miała w stolicy swojej gdzie czynić tranzakcyję, nie szarżując się po kancelaryjach iuszych.

A co należy do utrzymania dóbr prymacyjalnych, był w nich najłaskawszym dla poddanych, nie tak panem, jak ojcem. Aby słuchać ich skarg, wyjeżdżał wieczorami w pole często, niby dla agitacyji, a to było dla poddanych, jak mi się raz zwierzył; bo mię brał z sobą do karety. „*Dla tego tak wyjeżdżam, żebym odbierał zażalenie od ubóstwa; bo ich podobno nie dopuszczają do mnie.*”

Co się zaś tycze ubogich i promocyji, wszystko w tym punkcie zamknę, gdy powiem: że dosyć było jak przypowieść niesie, klamki się palacu jego chwycić, żeby znaleźć opatrzenie na

przyszłe swoje życie. O jakże dobrze było służyć temu panu! Łaski zaś jego ku mnie tą całą historyją opowiadam i ogłaszę i obowiązuję moich następców, aby zasiągnawszy wiadomości z rękopismów, które się po tym panie pozostały w bibliotece wnuka jego Felixa, starosty Nakielskiego w Szczytnikach ułożyli historyją czynności jego, a osobliwie podczas bezkrólewia. Oby to dzieło stało się godne mojej wdzięczności za odebrane od niego dobrodziejstwa! —

ROZDZIAŁ VII.

O kanclerzu Młodziejowskim.

Powinna w tém dziele mojem wchodzić pamięć o Jędrzeju Młodziejowskim, biskupie Poznańskim, kanclerzu wielkim koronnym, młodszym odemnie czterema laty. Ten zrodziców chudo pa-

cholskich, bo tylko dzierzawkami chodzących, zrodzony, bawił się przy Antonim Krobanowskim, dziekanie i oficjale Gnieźnieńskim, już będąc klerykiem w Gnieźnie na tenczas, kiedym ja był w seminaryum. Był on tak potrzebującym i tak ubogim jak ja; mieliśmy serce do siebie i kochaliśmy się. Już ja na tenczas w nim coś wielkiego w przyszłości upatrywałem. Gdy pewny kleryk, szlachcie (przepuszczam imienia) żartki z niego czynił, broniłem go, téj już będąc opiniji: *ty staniesz się wielkim hultajem, a z ciebie, Jędrusiu (do kanclerza przyszłego obracając się) stanie się wielki człowiek.* — Zjściło się przepowiedzenie: bo tamten z czterech beneficjów, czyli pięciu, z jednego po drugiem przez dekretawyrzucony, umarł nędznie w klasztorze; ten zaś Młodziejowski (z inspektoryji młodych Radolińskich, podkomorzyców Wscho-wskich, dostał się na kapelaniją do Mia-

skowskiego, kanonika Gnieźnieńskiego, proboszcza Płockiego, od niego do Załuskiego biskupa, u którego ćwiczył się w kancelaryji do pióra. Tam opatrzywszy się w pieniądze, pojechał do Rzymu, gdzie 13. czyli 14. lat mieszkał, korespondencyje z biskupami Polskimi i duchownemi trzymał, ekspedycyje papięskie dla nich wyrabiał, kościół S. Stanisława i szpitala Polskiego długo był rektorem; kościół ten pięknie bardzo ozdobił i posadzkę w małym chórze z oryentalnych kamieni w herby Załuskiego biskupa wysadzaną, bardzo, kosztowną, położył; zakrystyją aparatami ozdobił tak osobliwszemi w robocie, jakie ledwie się mogą znajdować na watykanie. Księżniczki i damy Rzymskie, oraz zakonnice zjeżdżały się do tego naszego kościoła widzieć te nasze splendory i brać z nich wzory do naśladowania.

— Trafił się też taki sposób do zboga-

cenia tego naszego Rzymskiego domu: Ks. Krasowski, quondam kanonik Warszawski, pan milijonowy i hojny fundator misyonarzów w Siemiatyczach, darował był do zakrystyi w Częstochowie najkosztowniejszy aparat, na cześć najsw. Panny; drugi takż dał do kaplicy papiéskiej w Rzymie, który potém papież królowi Neapolitańskiemu darował. Oba te aparaty żywo i misternie szyte były przez jedną pannę, która mu w Polsce służyła i przy nim potém w Rzymie umarła. Wyobrażenia na tym aparacie wyrażały wszystkie tajemnice zbawienia naszego. Opis tego aparatu, w pięciu, czyli szóstu arkuszach drukowany, czytać każdy może.

Ten kanonik Krasowski w ojczyźnie swojej był bardzo nieszczęśliwy, oszkalowany o postanowienie jakiegoś nowego bractwa, które zwano „kutasowém“, a którego artykuły (wstyd mię bierze

wypisać) zasadzały się na owém przysłowiu „*Być w ogniu, a nie zgorzść.*“ Pozywany o ten szkaradny zarzut po grodach, ziemstwach, trybunałach, kondescencyjach, konsystarzach, i nuncyaturze, oczyścił się dopiero w Rzymie z téj potwarzy dekretem, który nie tylko go niewinnym deklarował, ale nawet wieczne milczeniepod karą kłatwy potwarcom nakazał.

Kanonik ten obrzydziwszy sobie kraj ojczysty, wyniósł się z niego zabrawszy z sobą kilkakroć sto tysięcy złotych resztującój fortuny do Rzymu bez nadziei powrotu do ojczyzny. Kiedy się zestarzał, w tenczas Młodziejowski starał się oto, aby się ów starzec po śmierci swojej stał polakom użytecznym; przeto namówił go, że dał na ręce jego sumę sześćdziesiąt tysięcy złotych za wielkim bardzo procentem, ale który miał ustać, gdy pożyczający umrze. Chwa-

lebny ten zamysł Młodziejowskiego niepomyślnie się udał.

Nasz Krasowski staruszek, już miał ośmdziesiąt kilka lat w tenczas, kiedy umowę o swój kapitał z Młodziejowskim zawarł. Któżby na tenczas nie pomyślał, że mu już nie daleko do śmierci; więc mu zapisał Młodziejowski po trzysta, czy czterysta procentów od sta, a za kapitał kupił kamienicę dla funduszu polskiego. Ale Panu Bogu podobало się nad bieg zwyczajny ludzi, przedłużyć życie staruszka. Jak żył, tak żył, a procent ów swój wielki odbierał, że ledwie nie dwa razy więcej przebrał nad swój kapitał; bo żył lat 99. a ten dom nasz nie mając czym wypłacać tak wielkiej prowizyi, musiał się zadłużyć. Mógł był ten staruszek jeszcze co uczynić dobrego domowi naszemu w nadgrode odbieraną tak wysoko prowizyi, ale na nieszczęście Młodziejowski z Rzymu wyjechał. Re-

ktorowie późniejsi domu naszego i polacy tamże bawiący, nie umieli się akomodować staruszkowi, tak że on lokajowi swemu włochowi, który mu do śmierci służył, zapisał całą fortunę swoją.

Ale więcej jeszcze uczynił Młodziejowski dla domu naszego, kiedy na prowent jego i kościoła Śś^o Stanisława wyrobił dekret wieczysty, aby polscy biskupi, opaci, prałaci, kanonicy, od swoich sakrów prowizyi, beneficjów, z Rzymu, z dataryji biorąc ekspedycyje, płacili do tego kościoła procent, który nie raz wyniosł kilkanaście tysięcy; a te służą na utrzymywanie kościoła i szpitala, na reperacyją, na zakrystyją, i na kapłanów, przy kościele będących, i na ubogich z Polski przychodzących: a gdy się to i dalej tak mądrze prowadzić będzie, to może z czasem stanąć wspaniałe kolegium dla Polaków. A tego wszystkiego był sprawcą Młodziejowski staraniem swoim i industryją.

Zastąłem ja w Rzymie tę o nim pamięć, że gdy mu brakowało pieniędzy, resztę ich przy sobie pozostawiał, rozdawał między żebracę się wstydzących. Co gdy zawsze robił, jużci mu zaraz, i tak znaczne weksle i niespodziewane z Polski ratunki przychodziły od wielu, a najwięcej od Załuskiego biskupa. Gdy potem dostało się biskupstwo Krakowskie po kardynale Lipskim księdzu Załuskiemu, Młodziejowski powrócił do Polski, już z kanoniją Krakowską, i był u biskupa tego audytorem aż do śmierci jego, która nastąpiła roku 1758.

Kiedy książę pan mój (Lubieński) roku 1759. został prymasem, potrzebował audytora bardzo zdatnego; więc wziął do boku swego Młodziejowskiego, bo znał jego przymioty, i nie zawiódł się na nim: bo to był pralat z tysiąca najzdatniejszych. Dosyć mu było cztery godziny do snu i spoczynku, wszystkie ekspedycyje publiczne prymasa się tyczące fran-

cuskie, włoskie, łacińskie, polskie, swoją ręką pisał: sekretarze prymacyjalni i manualistowie nie suszyli sobie głów, tylko podane sobie gotowe kopije przepisywali. W układaniu i pisaniu najważniejszych materyji, tak był sobie przytomnym, że za jednym razem, w jednym czasie, tu pisał, tu wizyty przyjmował; tu na propozycyje gościom odpowiadał, a robotę swoją kończył bez omyłki, bez poprawy. Cud to był, i człowiek niejako nadprzyrodzony! a przecie choć nie zbogacony wyszedł od biskupa Załuskiego — bo mogę powiedzieć, że był potrzebujący — jednak nie chwytal beneficyja dla siebie, kontentował się Krakowską kanoniją i (bez funduszu) Gnieźnieńską, z której na kustydyją postąpił. Podawała mu się okazyja do wzięcia probostwa Płockiego, a to przez koadjutoryją od Miaskowskiego, kanonika Gnieźnieńskiego, u którego niegdyś był kapelanem, ale się to

P. Bogu nie podobało, i owszem dla zasługi jego przez cnotę ciérpliwości dopuścił tego Pan Bóg, że go niegodziwie zelżono i zpotwarzono (nie wspominać kto) listami szkaradnemi. Dopuszczał P. Bóg na niego umartwienie takie, któreby kogo innego do grobu wpędziło: on je zaś przyjął zimną krwią; tylko na ulgę swojego serca panu mojemu i mnie dał do czytania te paszkwilujące siebie listy i obelgi. Tak niedostał on téj wspaniałej koadjutoryji, która się dostała Szembekowi, terażniejszemu biskupowi Płockiemu; on zaś, jako prawdziwy Chrystusów naśladowca, nie tylko złym za złe nie oddawał, ale im służył, i pomagał z mojem wielkiem podziwieniem i przykładem. Tak wyćwiczony, z dekretu Boskiego nadgrodzony w krótkce został, gdy po koronacyji króla Stanisława, był przy prymasie niejako sprężyną rządu; potem wziął pieczęć mniejszą i biskupstwo Przemyślskie, na

koniec po śmierci księcia Czartoryjskiego, został biskupem Poznańskim i kanclerzem wielkim koronnym. Mógł był pretendować prymacyjalnej godności po księciu Lubieńskim i drugi raz po Podoskim; ale jako czynny i potrzebny ojczyźnie minister, musiał dotrwać kanclerzem wielkim przy biskupstwie Poznańskim, aż do samej śmierci, która go potkała roku 1780.

Śmierć pana tego, któremu czerstwość jego długie życie obiecywała, nie była bez okazji. Przysądził on w sądach swoich bardzo sprawiedliwie podsędkostwo pewnemu ziemianinowi, przeciwko drugiemu, którego dwór protegował. Z téj okazji martwiony był bardzo u dworu (czego potem nieznośnie król żałował). Z tego umartwienia wpadł w chorobę, z której już nie wstał.

Miał ten pan, jakto zawsze bywa, nieprzyjaciół, jak za życia, tak i po śmierci swojej. Ci mu przypisywali to powię-

kszone wolności dysydentów, to utratę oderwanych od Rzeczypospolitej prowincyi, to złe rozrządzenie dóbr, i bogactw po Jezuitach; ale te zarzuty bardzo są niesprawiedliwe: bo, czyliż mógł ten pan przemocy oprzeć się? Niech wie potomność, że go znał z gruntu; niech to będzie jego apologiją: że jeżeli był prawdziwie wielkim kanclerzem, porównany z najmędrszymi panów Europejskich ministrami; to był też bardzo cnotliwym i pobożnym kapłanem i biskupem, który nie religiją do polityki, ale politykę do religiji stosował, a przynajmniej umiał jednoczyć sacerdotium cum imperio.

Krytykują drudzy, że zbiory jego w dobrach, sumach, ruchomościach, nie wiedzieć gdzie się podziały. Ale cóż ztąd lojika wnosi? Jeżeli pozostała po nim fortuna zatrudnia dotąd sądy i trybunały, to nie jest winą dawcy, ale jest wadą wszystkich ziemskich rzeczy; nie

wiecznych, bo do czesnych, przez którą w familijach nawet monarchicznych upadają fortuny: więc nie dziw, że i w familijach polskich upadają.

Ten minister, jak mi o nim przychylnosć jego daje wnosić, książęciu mnie Łubieńskiemu znać przypomniał, że mnie z zacisza kolegiaty Chockiej, nie jako na lichtarzu osadził. On dla zasłużenia się mego publiczności, aby mię był wysadził na jaki świetny stopień, chciał mię mieć prezydentem trybunału, i tym końcem, na nadchodzący już termin elekcyji prezydenta, przysłał mi sztafetę, ale nim mię doszła, dla skaleczonego pod kuryjerem konia, tymczasem dzień elekcyji nadszedł, na której został prezydentem ksiądz Sierakowski, a to z mojem wielkiem szczęściem; bo jeżeliby mi się było ciężko wymówić od téj godności, to jeszcze ciężéj wystarczyć na spezy jakich wymagała.

Pamięć o tym ministrze, jako współ-

autorze promocyji mojej, wpisać w tę historyją należało mi przez wdzięczność. Teraz dalej o sobie postępuję.

ROZDZIAŁ VIII.

Podróż do Włoch.

Po zakończonym trybunale nadszedł rok 1768. W tym właśnie czasie toczyła się w trybunałach Rzymskich sprawa kapituły Gnieźnieńskiej z zakonem kanoników regularnych custodum sepulchri Christi o szpital, który z dobrami do niego należącemi należy do kapituły. Podobało się więc tejże kapitule, na popieranie téj sprawy, posłać mię do Rzymu. Bóg mi ku starości już dążącemu, bo lat na tenczas już mającemu 55. uczynił tę łaskę; bom zawsze pragnął nawiedzić to miasto święte, skropione krwią tylu męczenników i zaszczycone

zwłokami ich, a w szczególności grobami książąt apostolskich, Piotra i Pawła. Przyjąłem więc tę delegacyją i umocowany patentami ode dworu i od kapituły, puściłem się w tę świętą drogę około 20^{go} Kwietnia roku tegóż 1768. i do Wrocławia się dostałem.

Wziąłem ja z sobą lokaja, już mi od lat dwóch służącego, Polaka, nie umiejącego, równie jak ja, tylko popolsku; wziąłem dwie pary sukien porządnych, jedną czarną z kamlotu bruxelskiego, drugą nasobiepopielatą, z sukna francuskiego, i płaszcz z wilkami na zimny czas, oraz koszul tuzinów dwa; wziąłem trzos siedmiolet dukatów napelniony i tekę z papierami. Nic więcej nie wziąłem, nawet ani pościeli, tylko wielkie prześcieradło, abym się nim obwijał, dla ochrony się od zarazy w pościelach austerników zagranicznych.

Z Wrocławia dnia 27^o Kwietnia wyjechałem, ale już nie furmańską kareta, co

tydzień do Wiednia chodzącą, bo tam się mieszczą różnego gatunku ludzie. Tam wsiedzie i żyd i żydówka, i ten i ten, taka i owaka, a wlecze się powoli jak smoła i niezmiennie trzęsie, i lubo ten przewóz jest bardzo tani, ja jednak na pocztę, choć bardzo drogą, ale zpojazdami bardzo wygodnymi wsiadłem i traktem na Opawę, Ołomuniec i Bryn, jechałem. We Wiedniu, po wyjeździe z Wraclawia, czwartego dnia stanąłem. Droga ta od Ołomuńca jest tak piękna, że weselszój w całym świecie niemasz; bo mało to, że szeroka bardzo i brukowana (bo takie są drogi po wszystkich austriackich państwach), ale co więcej rozwesela oczy i serce to to, że od Ołomuńca prawie pod sam most Wiedeński obsadzona jest z obu stron pod linią drzewami pożytkującymi, jako to: jabłoniemi, gruszkami, tereśniami, wiśniami orzechami włoskimi, kasztanami, między którymi mało co znajduje się drzewa

nie pożytkującego. Tym zaś milsza była moja jazda, że się na tenczas drzewa rozwijały i kwitnęły. Na którą zaśkolwiek stronę się spojrzalo, lada gdzie na zagonie i bardzo gęsto dał się widzieć w miejscu najeżony zając, nic a nic nie strwożony turkotem pojazdu i spokojniejszy nad królika domowego, tak, że trzeba było dobrze go harapnikiem smagnąć, aby go z miejsca ruszyć. A nawet pod ostatnią austeryją ku Dunajowi, o pół mili od Wiednia, widziałem kilkanaście kotnych łań, które wstawiać z légowisk nie chciały, jak swojskie bydło przed nadchodzącym pojazdem.

Stałem w Wiedniu 1^{go} Maja w najwspanialszej austeryji, gdzie taniość większą, niż w Polsce zastałem. Obiad smaczny; i bażanty smaczne; wino austryjackie, w złotym kolorze, dobre, a na wpół tańsze, niż francuskie: bo tam węgierskie są zbyt słodkie.

Z rana zaraz przychodzi do mnie słu-

szny i dobrze przybrany kuryjer i oddaje mi pakę listów, mając mnie za Krasńskiego, biskupa Kamienieckiego (bo już w sam ten czas wszczynały się intrygi w Polsce i związki, które ten biskup układał). Ledwo kuryjerowi temu wyperswadowałem, że nie jestem tym, którym mię rozumie: — i odszedł.

Tymczasem Wiedeńskie osobliwości oglądałem, gdzie nic mi się nie podobalo, wyjąwszy (bażanty) niezmiernie wielki kościół archikatedralny i wieżę na boku kościoła przecudowną, bardzo wysoką, z ciosowego kamienia stawianą; ale tak, że od fundamentów szerokość jej jest obszerna, wyżej węższa; i coraz wyżej, jest coraz węższa, a na ostatek wierzchołek jej najwyższy samym tylko jednym zasklepia się krzyżem: zaś kościół pod dachówką wewnątrz okopciały, bez ozdoby. Łoża cesarka przypięta wysoko do filaru, na którą trzeba się piąć, jak po drabinie.

Miasto ciémne, bo ma kamienice wysokie o 6. 7. i 8. kontygnacyjach, ulice blotniste i bardzo ciasne, oprócz jednego placu (bo się rynkiem nazwać nie może) na którym stoi fontanna i statua Leopolda cesarza, dziada naszej światobliwój pani, żóny Augusta III.

O zamku cesarskim dobrze napisał jeden jeograf, że piękniejsze, wspanialsze, bogatsze są stajnie królewskie w Wersalu, niż ten zamek. Lustrowałem go; bo na tenczas cesarzowa w Szembrun, o milę od Wiednia, mieszkała. Widziałem sale obszérne, ale nic w nich nie widziałem, coby godne było widzenia. Pałace Wiedeńskie względem pałacy Warszawskich małą są rzeczą. Kaplica zamkowa niknie w proporcycji kaplicy królewskiej w pałacu saskim Warszawskim.

Zwiędziwszy Wiedeń, trzeba było myśleć o ruszeniu się w dalszą drogę. Poczta z Wrocławia do Wiednia dro-

ga, uczyniła mię ostrożniejszym, żem weturynem do Rzymu się puścił. Ale na nieszczęście trafilem na tenczas, kiedy wszystkich weturynów Włochów, których tam jest bardzo wiele, pozabierali różni kawalerowie i dworscy na konwój do Neapolu córki cesarskiej, zaślubionéj królowi Neapolitańskiemu. Przecież natrafił mi się szczęściem przybyły weturyn z weneckiego państwa. Zgodziłem tego wenecyjana na całą drogę, aż do Rzymu, za dukatów pięćdziesiąt, a to ze wszystkim, to jest: z objadem i wieczerzą a la mercante, t. j. po kupiecku. Pod tym imieniem mieszczą się najgodniejsi kawalerowie; a karetą była bardzo wygodna i wielka, bo sześć osób mogłaby pomieścić.

Była między nami kontraktowa wymowa, abym o jego koszcie po miastach wielkich cóżkolwiek nad popas i nocleg mógł bawić, dla oglądania ciekawości. J tak było.

Wyjechałem z Wiednia 4^{tego} Maja na samo południe. Przejazd mój był przez państwa austryjackie, Styryją i Karyntyją. Dalej, miasteczko Ponteba, a raczej rzeczka przez środek Ponteby przechodząca, dzieli austryjackie od weneckiego państwa, a zatem i od Włoch. — Z Ponteby 10^o Maja ciągnąłem skalami, które po prawej ręce drogi primam regionem aëris wysokością swoją przechodzą, a po lewej między niezmiernymi przepaściami, które podróżnego strachem napelniają. Obrazy poprzybijane bardzo często nade drogą po skalach, wyobrażają wojażerów z końmi i z kareta na dno przewróconych; tych pogruhotanych, a tych skalęczonych. Tam to Szembek, rodzony brat biskupa terazniejszego Płockiego, w głębią tych opoczystych parowów z końmi, powozem w padł i zabił się, i takich bardzo wielu innych. Te przykłady ostrożnym mię czyniły; bo nawet powóz, który w

kilku miejscach, jedną stroną sięgał parowu¹, weturyn z mojim lokajem musieli unosić, a ja prawie trzy mile polskie wędrowałem pieszo, i to w kraju skalistym i pustym, bez wsi, bez chaty, bez człowieka, między gadzinami tu i owdzie z lochów wychodzącemi. Co więcj nawet, żeśmy się o mało nie pogubili bo na ostatek jakim przyszedł do wsi, wstąpiłem do kaplicy przy trakcie stojącj, i tam się modłać, gdym się długo ludzi niemógł doczekać, idę dalej myśląc: że mię nadjadą, a idąc rozumiałem, że idę ku Wenecyi: a mnie się tak w myśli i oczach zmąciło, żeśm szedł nazad, na powrót. Aż oto! trafiam na mojih ludzi, zdumiały, ręce ku niebu wynosząc, że się tak stało; bo cóżbyto było, gdybyśmy się byli chybili!

Przeprawiwszy się przez te dzikie i niebezpieczne miejsca kraju weneckiego, trafilem na kraj, jaki rajem nazwać mogę; bo rozumiem, że przeszło dzie-

wieć mil polskich jechałem między pałacami i przedziwnemi ogrodami panów weneckich. Miejscami już żniwo widziałem; jużem się przesmaczniemi winami i tereśniami za tanie pieniądze ochładzał i nasycił: i tak w wesolości serca stanąłem 14^o Maja na południe w Mestrze, wiosce leżącej pod Wenecyją.

Z Mestry wyprawilem weturyna lądem do Padwy, gdzie na mnie miał czekać, a ja z lokajem gondulą, albo łodzią o milę z Mestry lagunami morskimi dostałem się do Wenecyi, chcąc trafić na sławną ceremoniją zaślubienia sobie morza adryjatyckiego przez dożę, albo książęcia Weneckiego, która ceremonia zwyczajnie co rok odprawuje się w święto wniebowstąpienia Pańskiego. Zawiodłem się jednak w téj mojej nadzieji; bo dla burzy wielkiej na morzu, odłożono ceremoniją na niedzielę, w którą, gdy jeszcze nie uspokoiły się nawałności, w następujący świętny dzień

miała się odprawić, ale na nią czekać nie mogłem. Przynajmniej dostało mi się widzieć centaura (a) tak się nazywającą gondulę, albo łódź, czyli wielki statek sto tysięczny (czyli 50,000 dukatów) kosztujący, ozdobiony misternymi rzeźbami i figurami, które drukowana książeczka cała*) tłómaczy ów okręt wewnątrz i z wierzchu bogato wyłożony, już z arsenału na kanał wielki był wyprowadzony, i przygotowany do ruszenia na morze dla sprawienia téj zaślubiającej ceremoniji. W tym centaurze mieści się doża, patriarcha wenecki, nuncyusz papieski, posłowie cudzoziemiecy, cały senat, i szlachta wenecka. Byłem w tym centaurze i wszystko w nim widziałem. Majtkowie do niego tak pięknie i bogato byli wystrojeni, jak stroją monarchowie laufrów: przytym były pełne wszystkie kanały morskie, między-uliczne, nawami, albo

*) Łódź tę nazywano bucentaurem, a nie centaurem.

gondolami zatkane do zabiérania na ten akt mnogości ludu i cudzoziémców, przychodnich na tę walną Rzeczypospolitęj uroczystość. Tak zatem nie widziawszy ceremoniji zaślubin morskich, nasyciłem tylko ciekawość moją, jakim sposobem w tém mieście w płaskiem morzu zakładają fundamenta pałaców, za pomocą skrzyni zrobionęj z palow fugowanych i wbitych w morskie dno, według proporcyi szerokości i długości placu. Z téj skrzyni więc wyciągają machinami wodę, a potém zakładają fundamenta i kamieniami murują budynek. A co suszy głowy fizyków z jakiej przyczyny dzieje się fluxus et refluxus morza, t. j. wezbranie i opadnienie i to dwa razy na dzień? A ja widziałem, że blisko na półtora łokcia opadała i znowu na półtora łokcia rosła woda; uważałem także, że po wielu wyspach, na których całe stoi miasto, niemasz inszej do picia i do gotowania wody, tylko, albo z rzék

przywoźna, albo z dėszczów chwyтана i zachowywana, a przeto ciepła na pragnienie.

Chlėb tak w tēm mieście, jako tēż w całem państwie Weneckiem tak twardy, jak kamienie, bo ciasta nie ruszają. Rozumiem, że to robią z prawa rządu, aby ludu nie oszukiwali piekarze nadęciem chleba drożdżami, albo potażem, lub wapnem.

Tem wszystkiem ciekawości mojej zadosyć uczyniłem, resztę sobie zachowałem na powrót, i pożegnałem austeryją, jak pałac najśliczniejszy, w którym po wielu pokojach podłogi były jak z jednego całego kamienia, oblane jakąś masą lustrowną i przezroczystą, jak zwierściadło. Wsiadłem na statek wielki i płynąłem przez laguny, czyli nie głębokie morze, a potēm lądem przyjechałem do Padwy o mil polskich pięć od Weneccyi odległej. Tam zastałem wielką taniość żywności, dobry w austeryji ob-

jad i wieczerzą, które zemną jadł tame-
czny penitencyjarz, franciszkan i szla-
chcic polski z Krakowskiego (bo dla
Polaków zawsze tam jest penitencyjarz
Polak). Nawiedziłem tam cudotworne-
go świętego Antoniego kaplicę i ołtarz,
na którym wystawiona jest trumna wiel-
ka srebrna. Tu w Padwie czekał na mnie
mój weturyn. Wsiadłem do karety i je-
szcze po południa państwem Weneckiem je-
chałem, i stanąłem po południu 18^{go} w
Ferarze, mieście papiéskiem, które co
do planty, jest ze wszystkich miast wło-
skich najregularniej ułożone, bo w sza-
chownicę. —

Dnia 19^{go} stanąłem w południe w Bo-
noniji, mieście papiéskiem, bardzo wiel-
kiem i bardzo ludném. Odtąd, jecha-
łem krajem płaskim, przedziwnym pra-
wie rajskim, napelnionym pałacami, o-
gradami i winnicami. Widziałem laski
morwowych drzew na żywienie robacz-
ków jedwabniczków; tóż i gajiki drzew

oliwnych, których liście podobne do liścia naszego złotowierzbu, albo łoży, czyli rokiciny. Role są czarne. Po pięć par wolów w pługu widziałem że miejscami orało. Po miedzach ról wysadzone stoją drzewa gruszkowe, jabłunkowe, po stajach zasadzone. Bononija po Rzymie w stanach papińskich najslawniejsza i najludniejsza, bo znacznej części złożona jest z pałaców, które zamieszkuje panowie wielcy, a te pałace są ozdobione perspektywami i lantszatami, wynalazkiem matematycznym. Taniość tu wielka. Gołębięta, po bonońsku karmione, wszystkie smaki w jedzeniu przewyższają. Tutaj to stolica na te pieski tak ulubione od Polaków. Przez ciekawość byłem u jednej madame, czyli ochmistrzyni tych piesków bonończyków. Była tam sala na sto gniazd i cała napelniona. Każde psiątko leży w swoim koszyku miękko wysłanym; ale nie chciałem tego specyjaliku, a raczej smro-

du drogo kupować. Wolałbym być widzieć i mówić z jedną panną mistrzynią w każdej nauce w akademiji Bonońskiej i jubilatką laurów doktorskich, ale nie chciało mi się słuchać mądrości kobiécęj, za moje własne pieniądze.

Z Bononiji, dnia 20^g ruszyłem, od której o milę górami wielkimi ciągnąłem aż do Florencyji. O tém mieście powiadał jeden książę, elektor Saski, że cudzoziémcom nie potrzeba je widywać, tylko w dni święte, a to dla uszanowania piękności tego miasta. Jakoż prześliczne jest i bardzo wielkie, a wkoło miasta setne pałace z rokosznemi ogrodami i polami urodzajnymi, rozweselają serce. Biję w oczy wielki oliwny gaj; murem pod miastem opasany; biję w oczy i zdumiéwa osadzony przed bramą miasta arkus misterny z marmuru najczyściejszego i najbielszego, jak istny śnieg i quasi zwiérściadło. Jest ten

arkus jak brama jaka wysoka i széroka na kilkanaście lokci.

Tu mi się trafiła szczególność godna pamięci. Idąc ulicą obszerną, widzę kawalera na przeciw mnie idącego. Ja ku niemu, on ku mnie; z przeniknieniem się nadością ręce wyciąga, a nie wiedząc przedtém o sobie, jakbyśmy się znali kto jesteśmy; witamy się polskim językiem, ścisnęliśmy się serdecznie. Powiadam mu kto jestem; on mi téż powiada kto jest. Był to szlachcic szląski od granicy ziemi Wieluńskiej zwany Strachwitz, imiennik sufragana Wrocławskiego, trzydzieści lat w wojsku florenckim służący: na ten czas był kapitanem w gwardyi. Tak on dobrze mówił popolsku, jakby dopiero dziś z polski się wyniósł. Prosił mię do siebie usilnie na czekoladę, ale nie miałem czasu; bo Weturyn nalegał o wyjazd dla drogości, prawie równéj jak w Wenecyi, a mnie téż trzeba było oglądać co

więcej we Florencyji. I widziałem kościół katedralny jeszcze wspamialszy, niż w Wiedniu: mogę śmiało rzec, że dwa razy nad nasz Gnieźniński wyższy i większy*). Lustrowałem zamek starodawny książąt florenckich; w nim nie masz, ani do struktury, ani do piękności, oprócz że w jednej sali niezgrabnej, sufit miejscami upstrzony jest blaszkami szczérozłotemi.

Trafiłem na ten czas, kiedy wielki książę florencki, brat teraźniejszego cesarza, z całą familiją swoją konwojował siostrę swoją, zaślubioną królowi obojga Sycylii, do Neapolu. Więc miałem wolność lustrować pałac nowy, nawet być w pokoju sypialnym książęcym. Pałac ten nie jest szczególniejszym. Podobny jest w galeryjach do zamku Kra-

*) Wieża przy kościele z marmuru białego, a opodal od kościoła drugi kościół wielki S. Jana, całe okrągły, jak w Rzymie Rotunda. W nim kanonicy florenscy chór śpiewają. Tamten pierwszy, niezmierniej wielkości, jest bardzo ciemny. Tam też jest w środku kaplica Lauretańska. —

kowskiego, ale go zamek Krakowski z wspaniałości swojej bardzo wiele celuje.

Wybrałem się z Florencyji w południe dnia 22^o Maja.

24^o Miałem objad w Ricorsi w Austeryji ładajakiój, ale jeść dobrze było. Przejechałem mimo Radicofani i nocleg odprawiłem w miejscu, gdzie jedna tylko austeryja stała, ale pożywna.

25^o Maja wjechało się w papieski kraj, który przerywały (jako wyżej) stany księcia Florenckiego.

26^o Maja, ciągnąłem żyznym krajem, ale nie wszędzie obsianym, na Witerbo, miasto papieskie. Koło Witerbu dziwiłem się wielości niezmiernych stad kóz, które są wszystkie białe, ale nie wielkie. Pędzono je na pastwiska — na skały.

Z Witerbu przez las pinelowy, to jest: sosnowy jak u nas, tylko, że mają sosny szyszki jak talérz szerokie, z któ-

rych do potraw smaczne ziarna, to jest: pinele kupujemy.

W trakcie tym, lubo pola i role są równe i prawie ziemia może się nazwać ziemią obiecaną, a przecie Włochów lenistwo sprawia, że nie orzą, nie sieją, tylko się gnuśni cisną do miast, około których tylko winnice i oliwne i morwowe chodują drzewa. —

ROZDZIAŁ IX.

Pobył w Rzymie.

Dojeżdżając do Rzymu oblewałem się łzami z radości i podziękowałem Bogu, że mi dał oglądać tę apostolską stolicę, przyprowadził do niej w zdrowiu jak najlepszym. Przybywszy do tego miasta, zajechałem zaraz do domu naszego polskiego nacyonalnego, to jest: do szpitala S^o Stanisława. Odezwałem się był

z Wenecyi na pocztę do Kś. Górzyńskiego, kanonika Krakowskiego, młodego referendarza koronnego dzisiejszego o stancję w tymże domu, którego on był rektorem, i zastałem ją gotową po ks. Żołędziowskim, kanoniku i akademiku Krakowskim, który w Rzymie mieszkał lat 14^{ście} w sprawie kanonizacyi S^o Jana kantego, Krakowskiego akademika. — Zakończył on tę oczekiwaną przez kilka wieków od ojczyzny naszą dla patroua swego świętość, przez policzenie Jego w poczet świętych od Klemensa XIII. w roku 1767. Apartament ten dla mnie był porządny, pięknymi meblami opatrzone, położony nad samą zakrystyją, tak, iż z pokoju oknem, które było z boku na sam wielki ołtarz, mogłem słuchiwać mszy ś. Zapłata od stancyi umówiona, jest co miesiąc na czerwony złoty jeden. Cała podróż z Gniezna aż do Rzymu, kosztowała czerwonych złotych sto. Lokaja

Włocha nająłem na jeden tylko miesiąc za dukatów trzy. Ten mi od traktyjera kardynalskiego za pieniądze objady nosił, specyjaliki Rzymskie kupował, czekoladę gotował.

Polaków na ten czas, kanoników, kapłanów, kleryków, zakonników rozmaitych liczyło się w Rzymie wszystkich na 70. osób, którzy jeden po drugim schodzili się do mnie na powitanie; ja także odwizytowałem ich.

Zabawy moje były w tem świętém mieście, obchodzenie kościołów prawie codzienn, a najczęściej Watykańskiego; z Jezuitami przyjaźnienie się, od których jenerała godnego i świątobliwego, odebrałem dyplom, na ucześnictwo z jego zakonem wszystkich sufragijów, które nie zwykły bywać komunikowane, tylko udzielnym książętom, i fundatorem kolegijów tego zgromadzenia. Ten jenerał, był Ricci, w więzieniu in Castro Angieli po zgaszonym tym zako-

nie w opiniji świątobliwości zmarły. Pałace rzymskie zwiędzilem osobliwie w tenczas, kiedy cały prawie Rzym z Rzymu wyjeżdża na kampanije, to jest: na wolniejsze powietrza użycie pod czas (jak zowią) wiledziatury, która się zaczyna od połowy Września i ciągnie się więcej nad miesiąc. Ta zaś pora czasu, jest tam najmiłsza, najzdrowsza i najweselsza, tak dalece, że zazwyczaj sami nawet papięże pod tenczas wyjeżdżają z Rzymu, do którego z pałaców swoich o kilka mil na użycie téj niewinnéj rozrywki. Wtedy wszystkie trybunały Rzymskie ustają. Starożytności Rzymskie, kolosy, obeliski, piramidy, fontanny, oraz nowe wynalazki, a nadewszystko przedziwne kościołów struktury, pociągały do częstego ich oglądania ciekawość moję.

O teatra i komedyje, jako te nie są przyzwoitym obiektem dla duchownego, tak cale niedbałem.

W Domu tym naszym nacyonalnym nie mieszkałem tylko ćwierć roku; bo dla zamkniętego w nim powietrza nie dobrze mi w nim było: zgodziłem więc stancję na miesiąc za szkudow piętnaście, które czynią czerwonych złt. półosma, a to z apartamentem dla mnie pięknym, obiciami, meblami, pościelą zawsze białą i czystą, z praczką, objadem i wieczerczą aż nadto hojnemi: ale jednak lokaj mój musiał rozporządzać w kuchni gotowanie do polskiego smaku.

Okna zawsze w dzień miałem otwarte, bo za mojej bytności nie było w Rzymie ani śniegu, ani zimy, tylko przez trzy dni nowego roku był nie mróz, ale mały mrozek, który zwarzył małe sopelki wody na fontannach. I dziwowałem się, gdy Włocha, a jeszcze bardziej, gdy Polaka drżącego od zimna widziałem. Ale ja codziennie wychodziłem i przechadzałem się po targowisku, albo placu, czyli rynku bardzo wielkim, otoczonym

z jednćj strćny Capitolio, na boku, arkusami starodawnemi, a z trzech strćn kościołami. Natym placu jednego dnia w tydzień w każdć, zda mi się, Środć, sprzedają niezmiernie dwa razy ogromniejsze woły, niż Ruskie i wieprze bez sićrci, gołe, klapouche, potćżne, które podprowadzają pod dom, niby pod jaki ratusz, tam taksują je wysadzeni z kongregacyji Annonse duchowni i świeccy, a według ich taksy kupują je rzeźnicy. Plac ten wielki zowie się Campo Vaccino. Drugi zaś plac, albo rynek, zowie się Riazza Nazona, w srćd którego trzy są przedziwne fontany. Te jak o-
tworzą, tak prćciutćnko cały ten plac zatopią wody, miejscami na łokieć, miejscami na półtora łokcia wysoko, a o-
twićrajć je w miesiącach Czerwcu, Lipcu i Sićrpniu w każdć, zda mi się, Sobotć. Tam się zjćżdżają Rzymianie i z okolicznych domćw patrząc na ten miły potop; inni na pobrzeżach wysoko

pod kamienicami wymurowanych, stoją. Wszyscy z téj wody chlód w siebie ciągną, i duchy swoje ożywają, a karety z końmi po téj żywej krynicy przechodząc się tam i sam brodzą; a tym sposobem powietrze schładza się i czyści.

Niezaniedbałem przezierać jatek mięsnych, rybnych, leguminyjnych, ptaszynych, magazynów zboża, siana, a na te porządne dyspozycyje patrząc, wzdychałem! *O to tu wszystkiego dobrego są przykłady! Wszystko przednie.* I niech mówi kto chce, taniej tu żywność się kupuje niż w Wrocławiu, niżeli w którychś mniejszych miastach Polskich. Funt mięsa wołowego po groszy pol: 8^m i 9^ć. Ale jakież to mięso? A to wzyłędem naszego, jak bażant względem kury, smaczne, a smakiem kraju swego szczególnym, słodkim i miłym, tłuste, ale nie taką tłustością łojową, jak u nas, lecz tłustością nieznacznie przenikającą całą masę mięsa. Ryby

morskie wyśmienite. Pająków tylko morskich, choć te są specyjałem dla Włochów, cierpieć nie mogłem, raz tylko spojrzawszy na nie rozplątane jak szczury.

Gęsiami Włochy brzydzą się i ich nie jedzą, ale za to indyków pewnie sam Rzym więcej pojé, niżeli cała Polska. Niezmiernemi stadami przypędzają ich z obojga Sycylii do Rzymu, a poganiają je długimi na 4—7 łokci błotnistymi trzcinami z kitką na końcu.

Gołębie wielkie i dobre, i nie mało ich ma to miasto. Dziwowałem się, że na jednym pniaku dwa będąc osadzone kowadła, tu na tém kuje kowal, a na drugim siedzi gołąb na jajach, a w nich ani się boją pukania pisklęta. Séry wyśmienite równają się Parmezańskim, które tu widziałem tak wielkie, jak młyńskie kamienie; pytałem się czemu tak jest? i dowiedziałem się, że od wielu krów wydojonych razem, zrobiony two-

róg, razem wyciskają na tak wielką formę séra.

Win wielorakie są gatunki: włoskie, neapolitańskie, florenckie, najlepsze dla nas Polaków z powiatu papiéskiego d'Orvieto, wypili go u mnie polacy i poniekađ włochoy przez trzy kwartały, na 200. butelek. Butelka z czystego, ślicznego, cieniégiego szkła, w którój jest blisko póltory kwarty Wrocławskiej, płaci się po jednym złotym polskim.

Węgierskich win szczépy już się tu nieudają. Kardynał Albani miał winnicę swoją zasadzoną szczépami węgierskiemi. Wina te, lubo tégie, nie są do węgierskich podobne.

Zwiédzałem różne botegi, to jest kupieckie, rzemieślnicze sklepy, i zdumiéwałem się, że tam ubóstwo obok z przepychem chodzi. W sklepie, albo botedze pięknie, czysto, statuy, busta z przednich oryentalnych marmurów; o-

brazy prześliczne, zwierściadła i lustra paradują. W izbie zaś u pana tych rzeczy i domu bezecnie; mąż, żona, dzieci, w pościeli brzydkiej, nadzy, jak pasternaki, z roztarganemi włosami leżą. Tak oni szanują koszul i bielizny, żeby się to długo zachowywało, ale nawet i ci, lubo dla siebie nędzni i nie ochłudni, dla cudzoziemców wspaniałe i ochędożnie przybrane trzymają apartamenta za tanie pieniądze. O, jakżeż byto w Warszawie opłacać trzeba!

Ludzkości Rzymskiej wychwalić zadostyc nie można. Doznałem jęj po wiele razy. Gdy idącego napadła potrzeba, już ci domyślny włosch wypada z botegi, i woła, „*oto sam Mości Panie iść potrzeba*“ i sam na miejsce zaprowadzi. Gdy dęszcz zaskoczy to prosi, aby się schronić do jego pięknej botegi, albo téż bierze parapluie, to jest: baldachimek i zaprowadza do stancyji. Raz błądzącego po tem niezmiernem mieście,

bom nie mógł wcześniej powrócić, podczas ciemnej nocy, nieproszony Włoch z latarnią do stancyji, do której bym był nie trafił, odprowadził.

Kiedy obchodzącego miejsca godne widzenia zatrzyma wielka jaka uléwa, (bo to bywa często w Rzymie, że dészcz pada, nie kroplami, nie strumyczkami, ale jakby cała chmura spadła, jak z rynny, jak z cebra leje) zaraz na pogotowiu znajdzie się grzeczny Włoch, który się ofiaruje odprowadzić, i odprowadza cudzoziémca tam, dokąd chce iść. Za tę zaś fatygę, małą płacą się kontentuje. Miłosierdzie zdaje się tu panować. Bogaci mają swoich rejestrowych ubogich, którym, co tydzień dają jałmużnę. Wstydzący się zebrać w osobliwszym są tu względzie. Nie boji się tu swojej upodlić godności księżna, albo hrabina jaka, gdy usługę czyni chorym w szpitalach złożonym. Z miłosierdziem łączą nabożeństwo, a

to z taką skrótnością, że nie obaczy w Rzymie, aby się która powodować za rękę dała do kościoła, albo żeby do niego przyszła upiększona, tylko w zwy czajuém odzieniu, kwefem skryta, się modli. Ja więc mówię z doświadczenia, że w tém świętém mieście, nie tylko nauk, ale i cnót dają prądwidła. W takiej mnogości ludu, za mnie tylko dwóch ludzi osądzono na śmierć.

Trafił się téż przypadek, że prałata Antenellego, w środ południa, utknąwszy w piérsiach jego nóż w stancyji własnej, zabił jeden hultaj, i tak zniknął, że go przezorni (jak wiadomo) zbirowie nie mogli nigdzie wysledzić. Ten zabój przecież stać się miał z dekretu Rzeczypospolitéj Genueskiej, za to, iż ten prałat, choć jój był poddany, pisał przeciwko niej za korsykanami, wybitemi z pod jój władzy.

Rzymu jak puszczy jakiej jest wielka rozległość; trafiało mi się milę włoską

jedną, i drugą, schodzić wizytując jakie miejsca święte, i zpóźnić powrót aż do ciemnej nocy, jednak nigdy nie trafiłem na napastnika. Z tąd się pokazuje fałsz potwarzy, którą roku przyszłego (1787) znać z podania nieprzyjaciół stolicy apostolskiej wydrukował pamiętnik Warszawski, jakoby za panowania teraźniejszego papieża Pijusa VI. pozabijano w Rzymie samym, dwadzieścia tysięcy przeszło ludzi. Opatrzność w Rzymie wielka. Ma tam żebrak z kąda inąd się pożywić, a nie z rozboju. Jeżeli pielgrzym? to znajdzie uczciwy stół po szpitalach do pewnych dni? Jeżeli inny uczciwy wojażer, choć niedostatni? znajdzie po traktyjerniach za mały grosz zielenizny zdrowe, po ulicach arbuzy, kasztany prażone, tudzież wszelkiego gatunku owoce. Tak się oszczędny za lichy grosz utrzymać może. Do podziwienia to mego było: cytryna za dwa polskie szelagi. Sok

się w wodę do wypicia wycisnął, a cała skórka z wnętrznościami oknem się wyrzuciła, co jedną Włoszkę przywiodło do skarzenia się na mnie, że jej psuję wodę w studni, wrzucając w nią cytryny. Odzienie w Rzymie może być bardzo tanie, bo tam pełno jest nowych prawie sukien, z pięknych rozmaitych materyji, które po prałatach, kawalerach, przekazują, byle mieć wiadomość, żeby nie po suchotnikach.

o Zdumiewała mnie też tamtejszych osłów taniość; za zlt. pols: 7. lokaj mój kupił osła, ktoreg o znów odprzedał.

- Ludzkość w Rzymianach nie porównana z innemi narodami. Znałem kilku Polaków, z których każdy pozapozyczkał się po kilka set dukatów: po lat kilku oczekiwali ciérpliwie powrócenia sobie długu; ja za jednego założyłem, a u drugich poprzepadało, ze wstydem dla kraju naszego. Nawet u Rzymskich żydów znajdzie tę ludzkość, kiedy

mi jeden tego narodu kupiec dawał na kredyt dziesięć tysięcy szkodow, które wynoszą sto tysięcy złt. pol. Czyliż się znajdzie w innym narodzie takowa uczynność? Wizyty z godnemi ludźmi tu cóżkolwiek kosztują, bo na początku Siępnia, na początku nowego roku, na imieniny obsyłają się komplementami, i płaci się lokajowi, który przychodzi od Pana swego z tą ceremoniją, zowie się to mandzia. Takież mandzie płaci się burgrabiom palacowym, którzy po wszystkich apartamentach panów swoich, wojażującego oprowadzają i okazują owe splendory, obrazy, i prawie cuda w osobliwościach znajdujące się: Ale te mandzie, ta zapłata nie jest kosztowna. Polskie usłużenia, choć nie wiele warte? daleko więcej wyciągają.

Chcę sobie zrobić z rodakami kompanią? znajdę u zamówionego sobie oto traktyjera prześliczny, dostatni traktament z winem na każdą osobę po pau-

łów trzy, które właściwie tylko dwa
tyńfy polskie czynią. Gdzież tego do-
każe w mojej ojezynie?

Klemens XIV. papież w listach swo-
jich już po polsku tłómaczonych napi-
sał; że choć byś mieszkał w Rzymie
sto lat, co dzień w nim co nowego oba-
czysz. Niech to będzie hyperbolą i
exageracją. Co do mnie? szczerze
wyznaję, że ustawicznie bywając w
kościel S. Piotra, w nim dziś widzia-
łem, czegom w czoraj nie, i tak dalej.
Codzień mi się zdawał bogatszy, co-
dzień osobliwszy, co dzień cudowniejszy;
nigdy za dosyć oczu, serca, ciekawości,
ukontentowania ludzkiego nienasyca-
jący, jak by był nie rąk ludzkich, ale
Boga samego dziełem.

Kawalerowie Angielscy, których tu
nie mało przebywa, prawie od siebie
odchodzą, jak zawzięci wpatrując się
w te cuda sztuki i natury. Cóż mówię
o całym Rzymie? Co o miastach wszy-

stkich Włoskich? Jest tyle ksiąg, opisów ich, żebyś z nich całą złożył bibliotekę: do nich ja ciebie odsyłam; ja tu tylko te malutkie rzeczy namieniam, które niegodne były pióra autorów i pisarzy.

W tym pobycie moim w Rzymie przekonałem się, że tylko tacy Polacy, co już w Ojczyźnie się wydoskonalili jeździć do Włoch powinni; bo ci, którzy to tylko troche łaciny, troche lojiki liznęli w kraju swoim, hańbią naród swój i tam się niczego nie uczą, bo o sobie wysoko rozumieją, jakoby już z zupełną sapijencyją do Rzymu przywędrowali, a oni stanu ojczyzny swojej nie znają. Wszystka ich zabawa, teatrum, przechadzki, a co gorzej, podchodzenia swoich ziomków w kanonijach i beneficjach, plotki i potwarze na swoich rodaków: oto jest cały ich zagraniczny polor. Znałem i znam powróconych z tamtąd, i zdumiewam się, jak mogli zo-

stać kapłanami, choć ad Solam Missam: bo pierwszych początków teologii nie znają ani Corpus Juris, to jest: prawa cywilnego i kanonicznego tak, żeby ich trzeba na naukę z gruntu do naszych seminaryjów, odsyłać. Strzegłem ja się z takimi półgłówkami, młodzikami, mieć sprawę, albo im poufać. Dobra rzecz młodego posłać do Rzymu, ale go trzeba oddać do jakiego kolegium, żeby był pod profesorami, i pod karnością. Znałem i znam takich, którzy w nich po lat kilka byli, i stali się kościołowi i ojczyźnie użytecznymi.

Jest coś sympatycznego w Rzymianach ku Polakom, że w nich nie cenzurują defektów, nawet ich nie widzą. O pielgrzymie Polaku pijanym nie mówią, że to Polak, ale, że Niemiec „*Tedesco Ubriaco*.” Czyli też w nich znajduje się miłość prawdziwie chrześcijańska, że ustępują i przebaczą ułomności ludzkiej: co dowodzi, przypadek nastę-

dujący. W sprawie, którą miał z biskupem jednym o jurysdykcyją pewny klasztor, zastałem w Rzymie pralata, infulata tego klasztoru z trzema, czy czterema zakonnikami swemi. Pralat ten (był to Polak) tak się raz upił, że z nóg spadł i na bruku na ulicy jak nie żywy leżał. Nadjężdża go na tenczas karetą kardynalską; stangret zsiada z kozła, ogląda, chce go trzeźwić, ale widząc, że nie jest zemdlaly, tylko opily, bierze go za pomocą inszych, wsadza do karety i zawozi do klasztoru bliskiego zakonu jego, poznawszy z odzienia jaki był zakonnik. Dobry ten stangret nie głosił tego trafunku, nie obgadywał pijanicę Polaka, cyt wieczne. Był topanicz z księstwa Oświęcimskiego, gdzie miał substancyi kawał znaczny, ale jęj utracił kilkadziesiąt tysięcy. Nosił on pralacki krzyż w Polsce i piérścienie, ale je przemarnował na sprawę swoją nie dobrą z biskupem. Chciał

mi się on insynuować, radę wziąć, alem unikał od takich kłótnikow ziomków, tak jak unikałem od drugiego kompatrioty w kolegijacie pewnej prałata, którego pan mój, prymas Łubieński na wizycie sprawiedliwie z posiadanej wyzuł prelatury. Poszedł on od dekretu privationis do Rzymu, gdzie, po mojim odjeździe, w kilka lat umarł. Człowiek ten, jak jaki awanturnik, raz miał pieniądze, drugi raz nie miał: Zastałem go w Rzymie bardzo odartego, jużci znowu w krótcie niczego mu nie brakowało, była suknia dobra, stancyja nie uboga, były i pieniądze, których mu i na karty dostawało; miał on zawsze pełną kieszeń zaświadczeń od panów świeckich Polskich o urodzeniu swoim i o talentach, o obyczajach (taję zawsze nazwisko, gdzie idzie o niesławę). Chciał on się do mnie wplątać, ale znając czleka w Polsce zbywałem go. Trafiał on przecie na mnie, kiedym miał u

siebie kilkunastu Polaków: pokazuje listy korespondencyjne swoje, które miał z kimsiś w Raguzie; pokazuje wiérse różne i satyry, pełne potwarzy na króla naszego, na pana mego prymasa, lubo już nie żył, na Młodziejowskiego, na tenczas podkanclerzego, i te listy i wiérse, i paszkwile zostawił u mnie, które spaliłem, jak się kompanija rozeszła, a to uczyniłem dla tego, żeby ten plotka wierutny nie roznosił ich po Rzymie według swego zwyczaju; żeby królowi i pierwszym panom, sławy nie brał: a tém samem, żeby sobie nie zaszkodził. Był na tenczas w téj naszej kompaniji jeden języczny N. N., który przed ministrem Rzeczypospolitéj naszej Antici wszystko wybajał i wyplótł. Minister przybywa do mnie, chce się lepiej dowiedzieć o takiej kalumniji. Odpowiadam mu, że nic nie wiem. Mówi minister: *Wszak te mowy były u W Pana? Prawda, ale ja takich*

mów nie słucham. Jednak W Pan musisz wiedzieć, powiedz mi o tym wszystkim, bo do mnie, jako do Ministra Polskiego należy zabiegać, aby sławy króla i panów Polskich nienaruszano. Bardziej mnie interesuje (odpowiadam mu) honor Ojczyzny mojej, której, tak mały człowiek, jak ten bajorz, nie zaszkodzi. Ha! to ja W Pana oskarżę do Warszawy. Oskarż! takiem podłem podchlebstwem (mówię do niego) nie zrobisz sobie kredytu, bo u nas bajek nie słuchają. Jakoż pisał przeciwko mnie do podkanclerzego, w ten czas Młodziejowskiego. Podkanclerzy listownie do mnie niby się trochę użalił, jakobym pokrywał bajdę tego, alem mu odpisał, że mali i podli ludzie zwyczajnie nie gadają przeciwko woźnicom, ale przeciwko wielkim ludziom: a tak cyt wielkie. Nigdy mi potem nie wymawiał téj dyskretyj Młodziejowski. Ow jednak plotyniec poszedł w areszt ad Castrum Angeli: ale mu tam było

lepiej, niż w swojej stancyji: Osadzony (a w karecie przywieziony) na najzdrowsze tamże w pokoje, z których był cale prospekt otwarty i najweselszy na kościół S. Piotra, na obszérny pałac Watykański. Apartament jego był cale miluteńki, jedzenie smaczne i dostatnie bez kosztu swego.

Nawiedzałem go tam po dwa razy, i napatrzyłem się w téj fortecy armat rozmaitych i widziałem tę śpizową śliczną armatę, z którój zabito książęcia krwi francuskiej de Bourbon kulwina z wojskiem Karola V cesarza, Rzym atakującego *). Ten jednak wolny więzień, był mi niewdzięcznym za to, że satyry i paszkwile zatraciłem upierając się, żeby go były obroniły, ale to gadał przeciwnie, bo by go były, albo na galery, albo przynajmniej na wygnanie z Rzymu potępiły. Wszedł on był

*) Za Klemensa VII. papieża roku 1627.

także w awantury z jednym opatem w Węgrzech, który mu kilka set sztuków na utrzymanie sprawy i na proces powierzył. Ale on i sprawy téj w Rzymie nie skóńczył i pieniądze utracił.

Znowu także w Rzymie trafił mi się awanturnik kapłan grecki, unit, proboszcz ze Zwańca. Przyszedł on jak ubogi pielgrzym w jednéj sukni i podtym płaszczem przysłała go tu konfederacyja Barska z listami do papieża. Miałem ja te listy w ręku i czytałem je, bo były otwarte, ale z temi nie czytaniem i nie przyjęciem od papieża listami, ten kapłan unit, zaraz nie bawnie musiał odejść z Rzymu.

A przed mojem przybyciem był tu urzędnik i obywatel z księstwa Litewskiego, także od konfederacyji tego księstwa zesłany do papieża ze supliką o ratunki dla ojczyzny, i o protekcyją do utrzymania wiary. Litwin ten był

dobrze w Rzymie przyjęty sprawił nabożeństwo publiczne w téj stolicy, o dobro naszego królestwa: od kardynałów, prałatów, książąt, panów, dam, ludzkości doznawał. Strój Polski, w który się ochędoźnie ubierał, Rzymowi się bardzo podobał, ale dla ojczyzny, oprócz dobrej woli ojca S^ę i kardynałów, nie nie mógł zyskać i tak z niczym odjechał, manifest tylko jego w Wenecyi, jak przez nią przejeżdżał, do druku podany w polskim języku, gruntownie za ojczyznę ułożony, w krótcie potém czytałem. On zaś bojąc się w kraju swoim pokazać, wyboczył do Węgier do majątnego koligata swego, Wilczek zwanego. —

ROZDZIAŁ X.

Powrót do kraju.

Tymczasem wybuchła w Polsce konfederacyja Barska, z kąd mnie téż przyszło pomyśleć o śpiesznym do kraju powrocie. Zakochanie się moje w świętém mieście Rzymie wiązało mię w niem zamieszkać: bo nie tak w tém słowie Roma znajdują się anagramatyczne słowa „*amor i mora*“ jako w sercu i chęci tego, kto pozna Rzym. Ale trzeba było ustąpić potrzebie. W Rzymie żyć z kwesty i jałmużny, już mój stan nie dopuszczał; a z ojczyzny weksle odbierać, pustoszenie jej, żadnej mi nadzieji nie czyniło. Więc zostawiwszy in Sacra Rota na pewnej drodze wygrany proces kapituły Gnieźnieńskiej z Miechowitami, kanonikami grobu Chrystusowego, ja sam zacząłem się

wybierać do polskiej podróży. Tu zważyć traf! Na rok 1769. matematyk w mieście papińskim Faenzie, wydał kalendarzyk, który jeszcze mam; w nim napisał te słowa: *Teatra będą otwarte, ale będą zamknięte, nim się skończy mięsopust*: a dalej pod dniem 2^{im} Lutego napisał te słowa: *Wszakem przepowiedział*. Mniej się to czytając uważało, dopiero potem skutek odkrył tajemnicę. Wiedzieć trzeba, że każde miasto papińskie ma teatrum, ale jak papież umrze, to zaraz takie teatra ustają na znak smutku, i żaloby. Owóż na tenże sam dzień 2^o Lutego przypadło matematyka tego okropne wywrócenie, kiedy dnia tego świątobliwy papież Klemens XIII. nie chorując, umarł nagle. Papież ten stawiał opór najmocniejszy królom domu Burbońskiego, którzy koniecznie tego pragnęli, aby skasował zakon Jezuitów, i w téj rezolucyi dotrwał aż do śmierci. Słyszałem ja

przecież z ust samego świątobliwego Jezuitów generała Ricciosa, że on sam prosił Ojca świętego, aby ich zakon skasował, dla uspokojenia monarchów i dla pokoju swego i stolicy świętej. Ten jednak papież niechiał się na to odważyć, przewidując z Ducha ś., jaką szkodę przez zgaszenie tego zgromadzenia odebrałaby święta religija nasza w Chinach, Indyjach, Ameryce; jaką górę Jansmizm, Deizm i Atheizm wzięłby, i jaki upadek w dobrych naukach i obyczajach, potkałby cały? okrąg ziemi. Te zaś okropne skutki tej kasacyji już ze smutkiem i żalem widzimy i prawie ich się rękami dotykamy. Aleć przecie stało się, co się stać miało.

Jenerał jezujicki z taką powolnością, jak ów Abraham jedynaka swego, 20,000 synów swoich na przeblaganie majestatów ziemskich chciał ofiarować. Namiestnik Chrystusów, jako Bóg nie-

gdys samą chęcią Abrahama się kontentował, wolał się sam w przód pogrzebać (jakoż to mu śmierć przybliżyło), niżeli za życia swego patrzeć na tyle mogił zamęczonéj niewinności, i na tyle tysięcy pogrzebanych ceremonij takich eksekwiji z przedwiecznych wyroków, zostawił następcy swemu.

Po śmierci papieża zebrało się Conclave kardynałów, a ja téż Rzym pożegnałem, zlustrowawszy piérwéj przygotowane dla kardynałów łóże w Conclave. Pożegnałem w tymże Conclave kardynała Albaniego, protektora Polskiego; pożegnałem potém Antycego, ministra Rzeczypospolitéj i innych Rzymskich oficjalistów, tudzież wszystkich współziomków moich, i wystarałem się na drogę o weturyna, i dobrałem sobie kompana księdza Dembińskiego, synowca Wojewody Krakowskiego tegóż nazwiska. Ruszyliśmy 5^o Marca popołudniu z Rzymu, i

o dwiedziwszy kościół S^{go} Piotra z poleceniem się Bogu, przez protekcyją książęcia apostołów, prosto od tego watykańskiego kościoła obróciłem się, nie tym, którym do Rzymu jechałem traktem, ale innym wyboczyłem, a to dla nawiedzenia Loretu, na którym to trakcie widziałem dobrą ekonomiją w uprawie, obsianiu ról, winie i ogrodów, w których już na ten czas migdałowe drzewa, wielkie jak u nas śliwkowe, kwitnęły jak mléko. Drzewa także pomarańczowe widziałem (a w Rzymie tak są wysokie, że z drugiej kontygnacyji Collegij z Penitencyaryjuszem S^o Piotra, mogłem oknem zrywać pomarańcze). Widziałem także ule tak wielkie, okrągłe na pszczoły, jak u nas kopa siana, z samego trawertynu, to jest z kamienia ciosowego. Piękne to jest dzieło w kopulę zasklepione, tak jak daje widzieć w herbach domu książąt Barberyni.

Po austeryjach włoskich łóżka tak

bywają szerokie jak długie, pierza żadnego do nich nie używają na nasypki pościeli, ale materace i wały wełną są wytykane; dają zaś koldry do przykrycia się. Bielizna do łóżka, lubo z płótna grubego, ale bieluteńkiego, nie tak jak w niemczech, gdzie śmierzdzą pierzane pościele, czyli piernaty.

I to wiedzieć nie zawadzi że we Włoszech weturyni, albo woźnice są tak traktowani, jak panowie, których za pieniądze wieżą. Pan z powozu wysiada i prowadzi go austernik do gospody, woźnica też, jak tylko z konia zsiędzie, jest jak pan: bo od niego austerniczy sługa i powóz i konie odbiera, a woźnicę, tak jak pana, na wygodę zaprowadza; sługa austerniczy, konie jego opatruje, napasie, napoji, kolasę nasmaruje, konie wychędoży, zaprzęże i z pojazdem wyjedzie: pan do pojazdu, weturyn na konia wsiada. Dopiero tak wszystko przygotowawszy,

harapanik mu oddaje, a tak weturyn z panem w drogę rusza. Kto chce lepiej w drodze jeść, trzeba jadać po austeryjach z swoim weturynem, i tak zwyczajnie się robi.

Na noc stanąłem w Lorecie, gdzie w katedrze nabożeństwo i w kaplicy w środku kościoła stojącej, mszą ś. odprawiłem przed ołtarzem i statuą nie wielką Najświętszej Maryji Panny, którą kaplicę i skarbiec jej i bogactwa aby opisać, trzeba na to księgi, a nie pióra, nie kilku linijów i wierszy moich. Dosyć mi namienić, że tam się znajdują dowody pobożności i ofiar narodu naszego. W kaplicy przed ołtarzem Matki Boskiej widziałem lampę w serce, szczérozłotą, które przed kilku laty przytomny tam książę Radziwił oddał na ofiarę Matce Boskiej. W skarbcu zaś cały garnitur aparatu, samemi uryjańskimi perłami wysadzanego, dawno kiedyś ofiarowała dama Polska.

Widziałem prócz tego w skarbcu perłę wielką na pół palca, wyciągniętą z morza adryjatyckiego, w którem pereł niemasz: a na niej jest wizerunek, jak po snycersku wyrznięty statuy Panny Maryji Lauretańskiej. Widziałem sukienkę Matki Boskiej, w której chodziła, w relikwiarzu zwiniętą. Kolór jej jest czerwony, a gatunek materyji naksztalt barakanu. Widziałem miseczkę glinianą, okrągłą, z której jadła.

Kościół ten Loretański opodal trochę od miasta stoi, wielki, z kaplicami wokoło, ale w strukturze nie jest osobliwszy, więcéj o nim rozumiałem. Przy kościele stoi pałac, czyli zamek, albo obszérny gmach, w którym mieszka biskup Lauretu i całego powiatu, i w tymże gmachu mieści się całe kolegium penitencyjaryuszów, złożone z osób, zdami się 17^{tu}, to jest z każdego narodu do słuchania spowiedzi. Między niemi znajduje się zawsze Polak: na ten czas był

kś. Łasiński, który nas częstował bardzo dobrym winem, zbiéranym z winnicy niegdys przez kś. Cywińskiego, (portret jego tam jest) kupionéj, bardzo obszernej, z której penitencyjarz Polak zbiera prowent na potrzeby swoje i na jałmużny dla pielgrzymów polskich. Ale teraz, po zgaszeniu Jezuitów, oddano franciszkanom to kolegium.

Stoji ten kościół z gmachami swemi na górze nad samém adryjatyckiem morzem, armatami ufortyfikowany, i garnizonem papiéskim obsadzony, a to dla bezpieczeństwa od Turków, od Dulcygnotów, od Montenegrinów, i innych Piratów morskich, którzy te tu brzegi papiéskie napadali. Kraj ten, i cały Markizat Ankonitański jest bardzo tani, obfituje w woski i wszelaką żywność; a w prostym stanie, celuje w uczciwości, w odzieniu, w manierze grube chłopstwo inszych państw włoskich, bo jeszcze grubsze nad krakowskich,

podlaskich i mazowieckich wieśniaków. Dnia 11^o Marca z Ankony jechałem z Loretu piaskami, kilka mil nad samem morzem. Tak jadąc napatrzyłem się i nasłuchałem strasznych furyji tego okrutnego żywiołu. Lubo na lądzie nie było żadnego wiatru, ale była miluteńka aura i jak najspokojniejsze uciszenie: tu niezmierne wały rozhukanych wichrami wód, tak wysoko wyrzucane były, że w oczach moich zdawały się przenosić pierwszą powietrzakontygncyją, a tu okręty, i statki (a widziałem ich wtenczas kilkanaście żeglujących) z wałami w górę wysadzone, między okropnemi chmurami, niby latały (tak jak teraz z wynalazku od lat kilku Francuzii Anglicy zuchwale machinami latają). Tu z wałami spadającemi w przepaścistą upadają głębiznę, tak, że mnie widziało się, że już zatopią się okręty! Jużci po nich! W tych bijących z sobą falach i wałach, jak gdyby się skały z sobą po-

tykały, takie huki, ryki, wrzaski, wyki, jęczenia, piski słyszeć się dały, że uszy moje na wylot przerażały: Cóż dopióro dzieje się z żeglującemi! Słyszając to na uszy, i patrząc na to oczyma memi, stawiałem sobie w myśli furyje i kary piekelne. Fale téż na płaszczyznę piaszczystą tak daleko wybiegały, że około mojego pojazdu odbite, po wiele razy mnie w nim siedzącego opryskiwały, i pojazd na kilka kroków przechodziły, i znowu się do łoża morza wracały, nie zostawując nic wody, tylko wilgoć na piasku. To żadnego niebezpieczeństwa wędrującym nie czyni; bom nawet widział ludzi zbierających morskie wyrzuty na tych piaskach, choć się o nogi ich fale obijały.

12. Marca popas mój w Ankonie, gdzie lustrowałem port bardzo sławny, który mieści się w liczbie czterech na świecie szczególności według przysłowia *Una fides Romana. Unus pontifex in Roma,*

una libertas Polona. Unus portus in Ancona.

Port aby był najbezpieczniejszy, trzeba sobie rozumieć jak jaki ustęp od rzeki, żeby ze trzech stron był zamknięty, od nawałności morskich zasłonięty, tylko z jednej otwarty strony, którędy by okręty wchodziły; inaczéj w samym porcie okręty się rozbijają jeden o drugiego i zatapiają. Głębokości także wody potrzebuje proporcjonalnéj, żeby okręty wyladowane miały przystęp bliski do brzegu, do wykładania ciężarów i ładunków z okrętów. Ten port Ankoński z dwóch stron był bezpieczny: od miasta, które stoi na górze, i naprzeciwko miasta od głębokiego morza, gdzie go zabudowanie różnych gmachów zasłania od burzy. Ale od trzeciéj strony ściana była z latami zrujnowana; więc ją skarb papiéski miał w reperacyji, na którą rokrocznie wychodziło sto tysięcy sztuków. Ściana ta jak grobla jaka,

w tenczas kiedym tam był, już była wyniesiona nad morze dwiema łokciami, sposobem jakiego używają do budowania na morzu za pomocą ziemi, która się zowie *pueolana*, sprowadzana okrętami i statkami z krajów papięskich, której moc jest taka, że w wodzie kamienieje. To widziawszy pociągnąłem na noc do Sinigalii miasta pięknego z fortecą.

Dnia 14^o Marca zdążyłem na popas do Rimini. Miasto to jest bardzo wesołe, i wielkie; place, rynki i domy publiczne są wspaniałe; kościół frąnciszkański, lubo bez podniebienia, tylko pod dachem, ale ma w facyjacie kościelnej wielkie, wysokie arkady z najprzedniejszych marmurów, najprzedniejszych autorów. Godne te są widzenia i podziwieniasztuki, które starożytność wiekom terażniejszym do naśladowania podać. Jest także tu izdebka, niegdyś w polu stojąca, i tamże od Ś^{go} Antoniego Padewskiego zamięszkała, którą industria pobożno-

ści do tego kościoła sztukami i kawałami przeniosła.

Dnia 16^o nocleg w Faenza. Prawie każde miasto w tym kraju zdumiewa wojazera. Tu znowu bram wiele z wieżami, tu domy z podcieniami, tu liczne kościoły i osobliwsze fontanny.

Tu porcelana czyli fajans od wielu wieków wynaleziona. Ta na której jadłem w austeryji, mało ustępuje Salskiej. Tu ów matematyk (o którym wyżej) przepowiadacz dnia śmierci papieża Klemensa XIII^o, był dla mnie ciekawym w celu mówienia z nim; ale weturyn krzyczał do wsiadania i tak się zatrzymywać nie mogłem.

Nanoc 17^o Marca wypocząłem w Bononiji, do której zmierzyłem jako na przeszły do Rzymu mój trakt.

Z Bononiji do Ferary pojechałem, o których to miastach powiedzieć muszę, że po Rzymie pierwsze zaraz miejsca biorą w stanie papieskim. Od Bononiji

aż do Ferary, samemi się jechało tłustemi i urodzajnymi równinami, i wszędzie obsianemi, między którymi tu i owdzie znajdowały się chałupki, na kształt polskich. Droga na ten czas w tym miesiącu tak była zła i przepaścista, jaka u nas ledwie gdzie znaleźć się może, a to dla niedostatku znać kamieni, których, w tej okolicy nie widać.

20^o Marca, o 5 mil od Ferary weturyn z samą tylko próżną kolaską pojechał do wsi Mirrha, leżącej nad samemi lagunami, a ja z kompanem moim najęliśmy statek wielki, dwa razy większy, niż te, które z Brandeburgiji przychodzą do Poznania, i na ten statek z rzeczami naszemi wsiedliśmy na rzekę „Po“ zwaną i głębszą jak Wisła pod Warszawą. Na tej rzece zastała nas noc bardzo ciemna.

Przybił statek do brzegu, aleśmy z niego, dla bezpieczeństwa kufrów, do austeryji nie wysiadali, tylko nam przy-

nieśli chleba, séra przedniego, oraz figów suszonych. Tym się posiliwszy troche, skoro świt kończyliśmy żeglugę, i przybiliśmy w godzin kilka do brzegu kanału, i stanęliśmy. Pytam się mego mego przewoźnika: *Na cóż tu stanęliśmy? Czemuż nie płyniemy dalej?* On mi odpowiada: *Signore! rzeka ta wpada tu bliżuténko w morze, a my popłyniemy tym kanałem.* Na tę jego odpowiedź rozumiałem, że drwi ze mnie Włoch; bo téż kanał jest ocembrowany kamieniem ciosowym, a pawiment jest gładki i suchy tak, że kropli wody na nim nieznac; nigdzie téż ścianami kanału woda nie sączy. Więc mówię do niego: *Mój miły, jakże my to łodzią pływać możemy po suchych kamieniach?* Odpowiada mi: *O-baczysz Signore.* W témprzychodzą dwaj chłopi, otwierają słózy od rzeki, z której wielkim potokiem wpada woda w kanał ten suchy, i nalewa go; przewoźnik wpuszcza tuż zaraz statek swój

wielki w kanał, który w momencie, jak przychodzi do miary wysokości wody, chłopci zamykają za nami ślózę, a my płyniemy kanałem, i w godzinę mniej, albo więcej, przypłynęliśmy do wsi, (o której wyżej) Mirrha zwaną, w której nas weturyn z kolaską czekał. Tam stanawszy, obejrzę się na kanał, aż widzę, że z tego tu końca chłopci znowu otwierają ślózę, którą woda przeciętnie z kanału wypadła, tak, że tylko wilgoć na pawimencie osuszonym została, na którym nasz statek stanął.

Wyznaję, że mię to cudo wynalazku i sztuki ludzkiej zdziwiło. Ale któregożby cudzoziemca nie zdziwiło? A takich i innych przyrodzonych cudów pełna jest Rzeczpospolita Wenecka! W austeryji ogrzaliśmy się, bo nas wapory rzeczne, i drzymanie na twardych ławach trochę oziębiło. Weturyna z kuframi wysłaliśmy naprzód, a my statkiem popłynęliśmy prosto do Wenecyi, i sta-

nęliśmy w tejże austeryji, w której jadąc do Rzymu stałem. Austerniczka, rodem Niemka, gadatliwa kobieta, chciała mię bawić rozmowami o szlachcie weneckiej, jak są rozwiozli, swywolni, jak córek swoich postradała z ich przyczyny; rozumowała i o rządach tej Rzeczypospolitej, ale jej na wszystko milczeniem odpowiadałem, znając politykę tej Rzeczypospolitej, że tam płacą wielomówność aresztem, czy dobrze, czyli źle mówi o niej cudzoziemiec.

Czego przedtym przejeżdżając tedy nie widziałem w tym mieście, chciałem teraz widzieć, ale na to trzebaby roku, nie dnia jednego, albo dwóch. Więc przynajmniej zlustrowałem sławną wieżę stojącą na placu przy kościele Ś^{go} Marka, a na tę wieżę nie masz żadnego gradusa, ale się idzie jak po podłodze gładkiej i równej, gankiem jak korytarzem. Tu i owdzie dla światła są okienka; idzie się tedy tym gankiem i wchodzi bez

najmniejszego czucia pod kopułę na sam wierzch z podziwieniem jak się to mogło stać? jak się mogło wnieść tak wysoko, bez gradusu, i bez mego nawet téj rzeczy postrzeżenia? To, śmiem mówić jest cud. Ta sztuka architektoniczna według wysilonych prawideł matematyki urządzona przechodzi pojęcie moje, témbardziej wytlómaczenie jej. Z wierzchu téj wieży miło mi było widzieć to cudowne i wielkie miasto na 27^{ciu} morskich wysepkach, na palach wystawione.

Zszedłszy, kościół obéjrzałem patryjarchalny Ś^o Marka, w którym jest pawiment mozajkowy z drogich kamieni wysadzany. Poszedłem potém do pałacu téj Rzeczypospolitéj, w którym doża, albo książę Wenecki mieszka, i byłem przed samym jego pokojem, portjerą sukienną ordynaryjną zasunionym. W całym tym pałacu wspaniałym, obszedłszy wszystkie ganki jego długie

jak po jakiej pustyni chodziłem, i nie widziałem w nim tylko jednego lokaja doży tego, a w dolnych galeryjach w katedrach takich, jakie w kościele Gnieźnieńskim są konfesyonały, siedziało kilku Wenetow poważnych w kołpakach i w togach długich z rękawami szérokiemi, a to są ci, którzy memoryjaly piszą do Senatu, kto ich w potrzebie swojej zażyje.

To widziawszy udałem się do arsenału pysznego na świat cały. W rozległości jest jak miasto, podzielone placami jak rynkami, na których leżą kule, bomby armatne, ułożone w piramidy, jak u nas kópy siana. Armat wielka moc, i moździerzów stósami stoi; widziałem tu armatę pierwszą zrobioną po wynalezieniu, z piekła prawie, prochu: jest gruba i długa żelazna. W szopach wyciągnięte z morza stoją 12 okrętów wielkich, między którymi jest jeden największy, bo o 5^{ciu} kontygnacyjach, czyli ba-

teryjach te okręty w potrzebie wojny, z pod szopów tych machinami łatwo wyciągają i na morze spuszczaają. W 13^tej szopie stoi ów okręt złoty, gondola, lub statek, który widziałem był przedtym (jako wyżej) wyprowadzony na kanał szeroki, do wsiadania na ceremoniją zaślubin morskich, centaur nazwany. Obchodziłem potém sale górne bardzo obszerne, przyozdobione jak najpiękniejsze kościoły, napelnione rynsztukami wojennemi, w nich mundury nowe żołnierskie i kapelusze, śmigownice, rusznice, kordelasy, piki, w tak kształtne są ułożone figury, że się w oczach wystawiają, jak najpiękniejsze óltarze, piramidy, kolosy, arkusy, i t. p. Tych mundurów i rynsztuków żołnierskich gotowych rachują na siedmdziesiąt tysięcy wojska. Między figurami widziałem tam w jednéj sali osoby, baszę, czyli, wezyra, po snycersku wyrobionego i hana tatarskiego w łańcu-

chy okutych, w sukniach ich narodo-
wi służących, jak żywych. Han tatar-
ski, szczególniej mię dziwił. Męszczy-
zna śliczny, zarastający czarno, po pol-
sku wygolony, żupan, jupka krótka,
gronostajami okładana, pas karmazy-
nowy, bót safijanowy, ze wszystkiem,
jak piękny polak. Byli to wodzowie
najwyżsi wojsk Tureckich, od Wene-
tów zwyciężeni i w niewolą zabrani.

Po sufitach wszystkich salów są
malowidła najprzedniejszych autorów,
wyrażające wojny na lądzie i morzu;
ataki fortec, miast, wysp, i ich brónie-
nia, wodzów i admirałów Rzeczypo-
spolitój Weneckiej; zwycięzców Porty
Ottomańskiej. Z tego arsenału, z téj
zbrojowni Weneckiej, niechiało mi się
wyjść, ale jako gość, jako cudzozie-
mieć, niemogłem w Wenceyji obywa-
telować.

To jeszcze tam uważałem, że za-
dnego garnizonu, żadnej kommandy,

żadnej warty, żadnego żołnierza w Wenecyi za mnie nie było, tylko przy wielkim porcie nad morzem głębokiem, gdzie okręty wielkie stawają, garnizon stał. A przed arsenalem w bramie siedziało trzech tylko, oficyalistów Wenetów, przed którymi się meldowałem.

Wenecya sama z siebie obrónna, nie potrzebuje garnizonu, bo okręty ciężkie nie mogą do ataku przystąpić, gdyż w okolicy miasta morze jest płytkie. Głodem nie można go téż wymorzyć, bo magazyny opatrzone są wszelkimi żywnościami na lat kilka, a w niedostatku chleba, może mieć Rzeczpospolita dowóz z inzul swoich morskich.

Pogżegnałem Wenecyją, i z niej tąż drogą, którą tak rok do niej wjechałem, przyjechałem do Mestry, a ztąd pojechałem do wsi Mirrha lądem. Ale tu trafiamy na szkodę. Chcąc sobie trochę drogi skrócić weturyn, nie jechał

przez most murowany na rzéce bystrój, ale przez samą wodę. Rzeczka była zabrzeżysta, z której niemógł wyjechać, tak, że cały tył pojazdu, na którym stały kufry, zniżyły się i w wodzie zatopiony został; konie już stargane, ani ruszyć mogły pod zabrzeżystość, tak, że nim znalazł we wsi weturyn woły do wyciągnięcia powozu, kufry ze trzy godziny były zatopione w rzéce. Otwieramy kufry, aż oto w nich wszystko wodą pluszczy. Trzeba nam było w austeryji aż do 23^o Marca bawić i rzeczy nasze suszyć. Ruszyliśmy potem z Mestry, i przybyliśmy do miasta Treviso, gdzie forteca i kościół katedralny, ale brzydki, bo bez sufitu.

Dnia 25^o nocowaliśmy w Rancheto. Aż dotąd wyjechawszy z Mestry, kraj ten nazywają ogrodem Rzeczypospolitej weneckiej, i sprawiedliwie; bo się jedzie prawie samemi ogrodami, prawie samemi pałacami. Do tych to pałaców

wyjeżdżają senatorowie i szlachta Wenecyjanie, (oprócz doży, któremu nie wolno z miasta wyruszyć się, chyba za dekretem i pozwoleniem senatu.)

Dnia 28^o stanąłem w Ponteba, na granicy weneckich i austryjackich państw. Wneci strzegą się Austryji, od której we wsiach nawet swoich na bramach od strony austryackiej mają wyrychtowane armaty, jakom to ciekawie uważał.

Aż dotąd, to jest do Ponteby weneckiej, i przedtém od niej jadąc do samego Rzymu, nie miałem zatrudnienia żadnego, tylko trzeba było pokazać na komorze świadectwo na cedule, jako z kraju zdrowego jadę. Nigdzie w całych aż do Rzymu Włoszech nie przetrząsano mego pojazdu; dopiero przebywszy most do Penteby austryackiej, doznałem w tem przykrości. Co tylko stanąłem w austeryji, oficjalista, celnik austryjacki, kufry każe otwierać, i

roztrząsa rzeczy, i kazawszy od nich zapłacić sobie „transito“ oprócz tego, jeszcze kazał sobie dać dukatow 6. *A to za co? pytam się; pro vadimonio*, odpowiada ten ździérca, *żebyście na bok z państwa Austryjckiego nie wyboczyli z oszukaniem skarbu cesarskiego. — A cóż to za racya! a gdzie my odbierzemy te pieniądze? — Odbierzecie je na ostatniej doganie iej prowincyi (Karyntyji) Zapłaćcie bez dysputy, macie na o bilet, który, oto wam daję: Trzeba było posłusznym być niesprawiedliwości i zostawić 6. na przepadek, bo z ostatniej dogany prowincyi karyntyji odesłano nas do Wiednia, gdzie ganiono tylko niesprawiedliwość celnika Pontebskiego, ale nam nie powrócono.*

Dnia 5^o Kwietnia przybyłem na południe do Wiednia, ale mię wprzód zaprowadzono na komorę, gdzie nie mało miałem biędzy, zachodów, frasunku i kłopotu z celnikami, lubo nie wcale kontra-

bandy przy sobie w powozie nie miałem.

Stawilem tu sobie w oczach Włochów, komparowałem ich z Austryjankami; ci zdawali mi się względem tamtych, jak pycha względem pokory, jak barbarzyństwo względem grzeczności, jak złość względem dobroci: podobno tym nie ustępują sami Turcy w sprawiedliwości, ani nawet dzicy Amerykanie w grubiaństwie.

Tymczasem, żebym w sobie rozrywał tę nudność, którą mi sprawiło to Wiedeńskie zatrzymanie, obszedłem w koło po wałach całe miasto. Tu z téj wysokości wałów przypatrywałem się placom i okolicom, na których nasz król, Jan III^{ci} zbił wojsko otomańskie i stał się zbawcą tego niewdzięcznego narodu. Zważyłem, że to miasto nie wielkie, daleko się wydaje piękniejsze niżeli jest w istocie: w ulicach ciasnych i w facyjatach nieprzyjemnych kamienie

i domów swoich. Co zaś w przedmieściach, to jest rozległe, i prawie na miłę niemiecką aż do Szembrunn, rezydencyji letniej cesarstwa, zabudowane kosztem cesarzowej królowej, której skarb z rozmaitych tego miasta dochodów tak się pomnożył, że sam Wiedeń tyle dochodu do skarbu cesarskiego ma wprowadzać, ile całe królestwo Węgierskie, oprócz jednak winnic cesarskich w Węgrzech, które wiele czynią.

Wyjechałem z Wiednia 10^o Kwietnia, stanąłem w Opawie 15^o. Ztamtąd kolega mój kś. Dembiński udał się ku Krakowu, w przód zemną doznawszy sekatur na komorze Opawskiej (jakem wyżej namienił), a ja najętym furmanem do Wrocławia się udałem. Orzeźwiałem cały wyjechawszy z krajów austriackich; bo jak tylko raz jeden na pierwszej komorze Szląska Brandeburskiego zaplombowano kufer mój, tak bez najmniejszej rewizyi zajechałem

na granicę polską. I ten sekret opatrzości Boskiej uważałem w téj mojej podróży, że w rok zupełny, tego samego dnia i miesiąca, w granice polskie wjechałem, którego wyjechałem z nich do Rzymu przeszłego roku. Stałem w Lubieniu mile przywitany od mego łaskawcy Michała Lipskiego, opata Lubieńskiego. Tam się porachowałem z workiem moim, i wyrachowałem ekspensy w téj Rzymskiej drodze mojej 400. duk. Zdawać się będzie komu, że wiele ekspensowałem, ale powiadam, że nie wiele. Wiek mój, w którym już byłem na tenczas, bo miałem lat 55., charakter kanonika Gnieźnieńskiego i eksprezydenta trybunału koronnego, potrzebował inszej figury nad innych Polaków, a szczególnie w Rzymie.

Niech ten przywiekszy mój wydatek innych nie odraża od wojażowania do Rzymu, do tego miasta świętego, byle to czynił, nie dla saméj ciekawości, ale

dla cnoty, dla nauki; a przez całe zupełne trzy lata, nie utraci przy ochronie tyle, ile ja przez rok jeden wyszafowałem.

W czym tak objaśniam: Naprzód, dla zachowania zdrowia, nie trzeba z Polski do Włoch wyjeżdżać na lato i na gorąca tamtejsze, ale pod jesień około 15^{go} Siępnia, żeby stanąć w Rzymie na prześliczną tamtejszą aurę jesienną, i obrać sobie stancję w otwartem miejscu; bo tam są takie ulice, w których jednych trzeba się pocić, a w drugich tego samego momentu, kiedy zawieje tramontana, to jest: wiatr zachodni, trzeba się tam strzedz pić rynfreszek lodowych i wody zapociwszy się; bo za tym przychodzą pewne suchoty. Aby podróż mało kosztowała, trzeba się puścić furmanem włoskim, czyli: weturynem, którzy już teraz do Warszawy po podróżnych jeżdżą. Z weturynem takim się puścić, a upewnić

meę, że taka jazda wcale będzie tania.

W drodze wystrzegać się próżnych o kraju cenzur, a osobliwie we Wene-cyi, gdzie taka mowa traci więzieniem. Nad wielkimi rzeczami i jeszcze niewi-dzianami zdumiewać się nie trzeba, że-by tego niewiadomości nie przypisywa-no. Absolutności, krajowcom naszym przyrodzonej, i owego rezonu i opry-skliwości, całę się wyrzecz potrzeba, że-by nie przyplacić workiem, albo czém gorszem. Skromności, jeżeli w domu, to jeszcze więcej za granicą Polakowi potrzeba. Próżnemi widowiskami oczu nie paść; bo to zgubę często przynosi, jak się to stało krótko przed mojem przybyciem do Rzymu, gdy królową Neapolitańską ciekawi Rzymianie chcie-li lepiej widzieć z wody, powiadali więc na statek, albo wielką łódź, która nadto przeładowana była, i zatopiła 23. osób. I cóż im więc z tego przyszło?

Od takiego ścisku ja zawsze unikałem. Nawet raz tylko widząc cesarza (Józefa!) we Wiedniu, jadącego na szkapie, za którym tylko jeden jechał masztalérz, jużem go drugi raz widzieć nie cisnął się. Nawet powracając z Rzymu, lubom się potykał z dworem jego, niechciałem oglądać tego monarchy, jakby mi sekretny duch przepowiadał, że on miał być nieprzyjacielem drogich zwłoków i relikwiji świętych Pańskich; niszczycielem tak wielu zakonów; łupieżcą dóbr kościelnych i bogactw chwale Boskiej poświęconych.

Strzegła się dusza moja widzieć tego przyszłego łudziciela konfederacji Polskich, i tego jeometrę i miernika, jakby podzielić między sobą i potencjami sąsiedzkimi krajiny najlepsze i najbogatsze, najniewinniejszój Rzeczypospolitej naszej.

A cóż forastyjerowi przychodzi z téj ciekawości? a to albo stuk! puk! po bo-

kach, albo próżna strata czasu; albo pozbycie mieszka; nakoniec żal i narzekanie. O! cóż mi to było po tém! Tego trzpiotostwa niech się chroni mój ziomek.

Podawała się teraz od lat szczęściu, albo siedmiu nowa dobra okazyja dla polskiej młodzi w Rzymie. Jest tam kolegium germanicum z funduszem bardzo dobrym na młódź niemiecką. Tego funduszu, gdy Niemcy teraz nie używają przez wzgardę cesarza, który przez niechęć tego funduszu używać zakazał, papież Pijus VI. dał pozwolenie królom polskiemu i pruskiemu, aby nacyonalistów swoich podawali do kolegium tego na nauki: jakóż już ich podawają i już tego przywileju synowiec rodzony kanonika Gnieźnieńskiego de Mathy używa. Tak wypolerowawszy swój rozum w tém kolegium można zostać Rektorem domu Polskiego nacyonalnego (o którym wspominałem).

Dosyć długo był nim Młodziejowski, a za mojej bytności Górzeński*), o których mówiłem wyżej.

Przy pomnożonych teraz znacznie prowentach tego domu, ma rektor z nich przystojną i dostateczną swoją sustentacyją.

Te daję rady do obchodzenia się w Rzymie i w podróży do niego o małym majątku swoim, nie biorąc miary z wydatku mego i innych Forastyjerów.

Z opactwa Lubieńskiego pośpieszyłem nawiądzić Chocz, zkąd w Gnieźnie stanąłem dobrze powitany od kapituły, ale razem z nią bolejący nad rozruchami w miléj ojczyźnie wszczętemi.

*) Który roku 1825. Arcybiskupem Poznańskim umarł.

ROZDZIAŁ XI.

Konfederacja Barska.

Ośm lat tego nieszczęśliwego związku, czyli konfederacyji liczyć będzie historyja do epok najgorszych, i już nigdy niepowetowanych nieszczęśliwości Rzeczypospolitej naszej, i ostatniego jej upadku. Ludu wojennego, rodowitych Polaków, zginęło, jak wyrachował król, mający o wszystkiem wierne raporta, sześćdziesiąt tysięcy. Mowa jego smutna na sejmie miana i drukowana, o téj prawdzie nas upewnia. Bezbronnych ludzi i niewinnych, tu i owdzie porzniętych, rachowano téż na kilkadziesiąt tysięcy: dziadów, żydów, z fałszywego o szpiegostwo podejrzenia, pełno po drogach wisiało: a zaprzędanych za sio za to konfederatów Prusakom

przez Moskwę, na kilkanaście tysięcy liczyć się mogło; familije najznaczniejsze i wielkich fortun, do ubóstwa poprzychodziły; młódź szlachecka, ostatnie kawałki majątków ojczystych potraciła: lada gałgan, lada rzeźnik, świec, rzemieślnik, lokaj, chłystek, zrobiony towarzyszem, oficerem, rotmistrzem, pułkownikiem konfederackim, najgodniejszych ludzi chciał mieć pod nogami swemi i ździérał, rabował, nakłady na wsie walił, nie tak jak absolutny monarcha, ale jak despota, jak tyran: i jeszcze do tego czasu, cechę nieludzkości swojej na sobie nosi tak, iż z miny nie jednego z nich opoja, bezecnego pijaka znać oczywiście, że był konfederatem, i grozi, że jeszcze nim będzie. Trafiło się, że jeden, u którego mięso na kuchnię moję kupowano, wyniesiony na wysoką komendę, aż zbytkiem wpadł wręce Moskiewskie. Szczęściem uszedł od nich. Przywró-

cony do kommandy konfederackiej, któżby nie ufał, że się stanie dobrym? Oj, nie! Jeszcze hardziej bił go opowiadał. Potykam się raz z nim, aż go widzę ubranego po węgiersku, jak najbogatszego generała. Zdejmuję przed nim kapelusz i mówię do niego: „kłaniam Mści Panie!“ On na tę moją grzeczność nie tylko ręki swojej nie podniósł do zdjęcia czapki swojej, ale tylko głową kiwnął i przeszedł. Na taką wzgardę kapłana i kanonika z żalem wyrzekłem: *Pamiętajże duraku, że znowu wpadniesz w ręce nieprzyjacielskie!* Stało się to w krótko. Bodaj wyszło dwie niedzieli w Piotrkowie, porwany był w pęta niewolnicze Moskiewskie, i w nich zwyczajem nieprzyjacielskim, ucieść wiele musiał. Teraz ten, który panował nad naszymi dobrami, własnego swego kącika niema, włóczy się na szkapie, szukając ratunku i pożywienia dla siebie, żony i dzieci swoich.

Dwóch jeszcze wspomnę, jednego imienia zacnego i substancyji dostatecznej rotmistrza, a raczej pułkownika i drugiego, zdaje mi się majora, bliskich sobie braci konfederatów. Pierwszy z 500. ludźmi przez dni pięć w Maleninie i Odrowążu, pod Witkowem, zrobił mi na folwarku na tysiąc złotych ekspensy, a u chłopów na tyle drugie; drugi na daninę jakąś z piekła wymyśloną, to jest: kopytkowego od bydła, owiec, zdarł ze mnie przeszło 30. Za te swoje sprawy, odbierają teraz obadwa nadgrody: bo tamten, wszystek majątek swój dziedziczny utracił, ledwie się przy posagu swojej żony utrzymuje, a ten szukał dla siebie u mnie ratunku w Warszawie, gdzie się znajdował w potrzebie mojej u prymasa Podoskiego, kiedy on przez Warszawę z innymi niewolnikami w kraj Moskiewski był prowadzony. Teraz zaś z substancyji swojej wyzuty, ów wale-

czny komendant, ledwie się żywi z żołdu towarzysza narodowego, za którego służy. A ci, i tacy wszyscy, jeszcze tchną duchem konfederacyji, i onój, jakby nie omylnój, życzą sobie. Jaki koniec stał się tych ojczystych burzliwości? tego prywatne pióro nie opisze, a publiczne i historyczne, chyba tylko żałobne epithapium, albo nagrobek pogrzebanėj Rzeczypospolitej naszej wystawi.

Znajdowałem się na tenczas w Szląsku, w Sycowie, z mojim łaskawcą Lipskim, panem Blaszków, na kuracyji nogi jego u lékarza. Ten lékarz przychodzi do nas pijany i powiada nam pod sekretem, że króla w Warszawie zrabano. *Jak to wiesz? Wiem*, „mówi“ *bo tu przyjechał jakiś wojewoda, i daje mi na rękę pięćset czerwieńców, żebym z nim do Warszawy pojechał na kuracyją króla, alem mu się wymówił. Tę wiadomość przyjęliśmy od niego ze wzgardą,*

bo to był człowiek bardzo podły, z pastuchy zrobił się lekarzem, szalbierz, pijanica, ale bardzo szczęśliwy do leczenia i zgadywający najsekretniejsze i niewiadome choroby, nawet śmierć pacjentów, lubo pisać, czytać, nie umiał, a nawet litery nieznał. Zapisował on prawda, nieznanymi jakimiś charakterami opowiadania cierpiącego, defekta, albo je téż sam z uryny przez szkiełko poznawał, i poznane, nibyto dla pamięci swojej, w księgę wgryzmolał: ale to było samą tylko obludą; bo na doświadczenie jego sam notowałem punktami, których on nie dostrzegał, te przez niego wpisowane casus, tak osób, jako téż chorób: jednak on nigdy nie mógł do nich trafić. Języka żadnego nie umiał ten człowiek, tylko po ślazzacku. Ten prostak grubo zelgał, jakoby jakiś wojewoda szczęścią końmi po niego przyjechał; boby to się było widziało. Więc ten sekret jego lekce-

śmy sobie ważyli. Aż oto! lubo z nie-
 jaką odmiennością, ale co do samėj isto-
 ty uczynku, stała się ta świętokradzka
 bezbożność. On nam powiadał że zra-
 bano króla, że się to już stało, a to do-
 piero się stało we trzy niedziele po je-
 go nam opowiadaniu. On nam o tém
 gwarzył, kiedy król był zdrów, ale
 gwarzył to, co się później stało i przy-
 szłe biał. Jak się mogło takie wyo-
 brażenie i fantazyja w łeb tego łajdaka
 wrazić? tego ja nierozumiem. Co do
 mnie, z kochanym Lipskim cyt! wie-
 czne nakazaliśmy sobie, nikomuśmy o
 tém ani przedtém, ani potém nie po-
 wiadali, a to z przyczyn roztropnych,
 to jest, żebyśmy sobie subjekeyji, i lé-
 karzowi biędzy jakiej nie sprawili.

ROZDZIAŁ XII.

Skasowanie zakonu Jezuitów.

W tym także czasie, po skasowanym zakonie Jezuitów przez Klemensa XIV. papieża, zakon ten istotnie rozsypany został. Zakonne osoby, których się rachowało w Koronie i Litwie dwa tysiące sto kilkadziesiąt, z kolegiów wielitościwie wypędzone tułały się jak wygnańcy. Naznaczono im wprawdzie pensyje z publicznego skarbu, ale te dopiero im wypłacono w rok, czyli dwa, z prowentów dóbr pojezuickich i do-
tąd je wypłacają po złt. 500., ale tylko tym, którzy beneficyjów nie mają. Poprawił się potém znacznie los ich, bo biskupi pierwsze z ich zgromadzenia subiekta do dworów swoich pociągnęli, prelaturami, kanonijami w swoich

katedrach i kolegiatach, i beneficjami opatrzyli; profesoryje onymże po szkołach publicznych nadane zostały, w wielu z nich wygodną i uczciwą sprawują subsystencyją. Król sam, szacownik ludzi uczonych, księdza Naruszewicza obdarzył koadjutoryją biskupstwa Smoleńskiego, a Wyrwicza opactwem Hebdowskiem, innych zaś wielu Exjezuitow, prelaturami, kanonijami, probostwami bogatemi, poopatrywał, i tym, którzy dworowi i królowi służą, dostatnie z królewskiego skarbu szafuje nadgrody.

Pozostały się przecież w Polsce jeszcze resztki zakonu tego w całym świecie skasowanego, ale już w kraju od niej oderwanym do Moskwy, gdzie Jezuici nowicyjat mają otwarty, i do niego przyjmują.

Szkoły liczne mają, które nie tylko polska i ruska, ale téż i moskiewska młódź napelnia. Reszta ta tak obszer-

nego przedtém na całym świecie zgromadzenia, daj Boże, żeby była nasieniem do odrodzenia się w kościele Bożym, w winnicy Chrystusowej tych robotników! Ale dotąd, w tych częściach oderwanych od Rzeczypospolitej, jak się ona utrzymować? Jure ne, an injuria? Czyli się to dzieje z pozwoleniem, czy tylko z tolerancją stolicy apostolskiej? Czyli protekcją imperatorowej Rosyjskiej zakonu tego działa się przez wzgardę Rzymu? czyli przez miłość pomnożenia nauk? Niech to zostaje w tajemnych wyrokach Boskich, pókad się providencyji nie spodoba wyjawić to w przyszłości.

Fundusze, dobra, kościoły, klejnoty, i to wszystko, co było Jezuitów, oddała Rzeczpospolita Polska komisji edukacyjnej, sejmem postanowionej. Dobra zaprzędano ziemianom i obywatelom, z których intraty rocznej przychodzi summa złt. pol. 382,838 a sum

funduszowych wyrachowano na dobrach ziemiańskich leżących, sumę ogólną złt. pol. 4,691,968. Przychodzi zatem z dóbr funduszowych, i od sum pojezuickich rocznej intraty złt. pol. 626,738., a to według tabeli publikowanej anno 1781. i to tylko w koronie.

Co się tycze dóbr i sum pojezuickich w wielkiem księstwie Ltewskiem, intrat z nich rocznych, niema dostatecznej wiadomości.

Kapitały te pojezuickie do dawnych kapitałów przyrosłe, powstały z przedanych sreber, klejnotów, sukienek, z obrazów ołtarzowych poździéranych, i z tych wszystkich splendorów, któremi ubogacone były i jaśniały kościoły jezuickie i celowały wszystkie inne bazyliki. A tych wszystkich bogactw kościelnych, według hasła patriarchy Jezuitów Ignacego świętego Ad M(ajorem) D(ei) G(loriam) przypodobionych, cena ledwie i ledwie w

czwartej części dostała się pod zarząd komisyi edukacyjnej; bo je łakomstwo rozszarpało, i obróciło na kredensa, na zastawienia stołów, że nie rzekę na urywały. Klejnoty, dyjamenty, perły, drogie kamienie z monstrancyji, z krzyżów poździérane poprzenosiły się na łby, na szyje i na ręce kobiet. Ah! ah! z żalem pisać o tém.

A jeżeli w samej koronie tyle bogactw rzeczy pojezuickich na nic potracono, cóż rzeknę o Litwie? Przyłóżmy zaś do nich fundusze w prowincyjach oderwanych, do Austryji, do Moskwy, do króla pruskiego; przyłóżmy jeszcze do nich owe kosztowne bazyliki miedzią pokryte, marmurami wysłane, a które teraz już się psują, już, już zepsuciem swoim gotują łożyszcze, na gnieźdzenie się wróblom i sowom.

Komisya edukacyjna z godnych i uczonych mężów jest złożona, której styr trzyma prymas, bez żadnej z skar-

bu Rzeczypospolitój dla siebie nadgrody, tylko dla chwały z usługi publicznej. Ta komisya formę nauk nauczycielom nową przez wydawane elementarne książki przepisała, i przepisuje; dawne nauk prawidła, porządek klas w nowy sposób odmieniła i odmienia.

Sławna zawsze przedtém akademija Krakowska na inszy tryb jest przekształcona. Już w téj akademiji krakowskiej rektoryją posiada świecki i żonę mający obywatel, Oraczewski. Już w niej, i po inszych wojewodzkich szkołach katedry mają, i lekcyje dają żonaci. Ale czyli taka odmiana, przeinaczenie nauki i nauczycieli, jest lepszym dla wiary świętej, dla kościoła, dla ojczyzny, dla obyczajów? jeszcze się nie dało poznać, dopiero nas nauczy dalsze z czasem doświadczenie. W tym tak ważnym artykule są przeciwne zdania: jedni wielką zaletę dają téj refor-

mie nauk; wystawują prawie arkusy i kolosy komisyi edukacyjnój; uwielbiają mądrość i roztropność jęj, i publikują pamiętnikami i drukiem, że w całym świecie niemasz lepszęj teraz dla młodzi edukacyji, jak w naszęj Rzeczypospolitęj.

Ale inni mówią i ja mówię, że to nowomodne mistrzostwo Aten do Polski nie wprowadzi; że małżeńskie profesorstwo z tułaczów zagranicznych zbierane, wiarę świętą katolicką osłabi, deizm wprowadzi, i młódź w obyczajach skazi; że parafijalne kościoły bez pasterzy, klasztory bez zakonników zostaną, albo samych nieuków mieć będą; że stala katedralne posiadać będą sami fryzyjerowie i perukarze, toga przemieni się w kartkę arlekińską; że księgi, archiwa, tranzakcyje odwieczne zostaną bez tłómaczeń, i najświętsze tajemnice staną się pogrzebane przez zagubienie języka łacińskiego,

który, jak czerwony złoty, ma kurencyją po całym świecie; że stanyrycerski i miejski, wpadną w ostatnie barbarzyństwo bez nauk, na które, do terażniejszych, à la mode, szkół brzydzą się dawać dzieci swoje, aby się w religiji nie osłabiły, i w obyczajach nie skaziły, z której bojaźni, nieoddawania dzieci do nich, tak zdrobniały klasy, że co przedtém jedna classis to jest: jedna gramatyka, jedna sintaxis, jedna retoryka, liczyła studentów stami, to ich teraz wszystkie classes w szkole głównej krakowskiéj, wszystkie classes w szkołach wojewódzkich Poznańskiéj, Kaliskiej i t. d. tyle osób nie liczą; a wiejski kmiotek, chłopiek, choćby się mógł przepomódz, z kilku synów, nie śmie oddać żadnego do dzisiejszój szkoły, tak dalece, że trudno będzie o ministranta do usłużenia do mszy świętój; o nauczyciela do szkółki parafialnéj; o organistę do pozytywu i odpowiadania

kapłanowi celebrującemu; a może wnet i o czytelnika, żeby znał litery A. B. C. D. Tak mówią, tak gadają, i téj prawdy są już znaczne początki. O! dalby to Bóg! żeby przyszłe czasy za tę edukacyjną kommissyą brzmiały podziękowaniem Bogu, przez radośne Te Deum Laudamus, a nie nuciły umarłym naukom, smutne Requiem!

ROZDZIAŁ XIII.

Dalsze autora przygody.

Wracam się do ciągu życia mego. W drugim roku po powrocie z Rzymu mojim, to jest 1770^g roku, zawakowała po śmierci Wołowicza biskupa Łuckiego prebenda Strzałkowska w powiecie i parafiji Radomskiej leżąca, simplex beneficium sine cura animarum, i z dobrym funduszem, bo ma wieś dobrą Strzał-

ków i drugą, i jeszcze trzeciój kawał. Piérwszy to był chléb duchowny, o którym się starał; prosiłem więc o prezente Męcińskiego kasztelana Santeckiego, ale mi jój niechoiał dać przez żal, żem się w granicznój sprawie między dobrami kapitałnemi i jego zachodzącój, przy sprawiedliwości utrzymywał; a ztąd obawiał się, ale bez fundamentu, kłótni w przyszłym czasie ze mną. W tém znajduję rywala do téj prebendy, Feliksa Turskiego na tenczas Chelmskiego, a dziaś Luckiego biskupa, który się i otrzymał, ale jakem się nigdy w życiu mojém na nic niepiął, tak dla spokojności duszy mojój odstąpiłem téj mojój pretensyi i w krótce nawet cale o niej zapomniałem.

ROZDZIAŁ XIV.

O Prymasie Podoskim.

Pod tę moję bytność w Warszawie, kiedym się o tę prebendę starał, prymas Podoski chciał mię postanowić koniecznie i koniecznie, in Spiritualibus Administratorem jeneralnym Arcybiskupstwa Gnieźnieńskiego. Był to fatalny postrzał na duszę, wysokości niepretendującą. Żebym się od niego zastawił, dałem do wyrozumienia prymasowi, aby mię już więcej nie napastował o przyjęcie tego przykrego dla mnie urzędu.

Dociekłem ja sekretu postanowienia téj administracyji, którą przyjął ks. Kozierowski, biskup Adrateński, kanonik Gnieźnieński mój przyjaciel i łaskawca. Podoski był to prałat uczony i polityk, biegły, wart być, jako i był, guwernerem królewiczów polskich,

ksiąząt Saskich. Miał on sobie zdana administracyją starostwa Spiskiego, służącego królowej na reformacyją, z pensyją dla siebie znaczną, trzymał oraz probostwo Krakowskie i Miechowskie i Refendaryją koronną. Po nieodżałowanej śmierci pana mego, księcia Łubieńskiego, został Podoski prymasem i arcybiskupem Gnieźnieńskim, a to za promocyją Moskiewską do króla Stanisława, z którym, albo raczej przeciwko któremu wszedł w takie spiski i intrygi nierozmyślne, że się odważył na detronizacyją jego knować sekretne z panami polskimi machinacyje, (znać z przywiązania ku domowi Saskiemu). Już on nawet na ten koniec, zaczynał swoje z dworem Petersburskim korespondencyje, gdy Imperatorowa Rosyjska, odkryła to wszystko królowi. Nie mógł za tém Podoski za tak zbyt śmiałą i zuchwałą pretensyją dobrze być widziany nie tylko od na-

szego, ale i od Petersburskiego dworu. Więc trzeba mu się było oddalić za granicę przynajmniej do jakiego czasu, pokądby wzniecone tajemnie na zapalenie ojczyzny ognie nie ugasły. Jakoż wyniósł się z Warszawy prymas naprzód do Torunia, potem do Gdańska, dalej do Paryża, gdzie niebył dobrze widziany, na ostatek do Marsylii. Całe to jego pielgrzymowanie było pod farbą kuracyji, gdzie téż w Marsylii umarł, tamże pochowany.

Intryga ta prymasa, jako w sekrecie była trzymana, bo i nie chwalebna, tak ja o niej tylko tu dla przestrogi piszę.

Substancyja dziedziczna pozostała po tym panie, dostała się na satysfakcyję kredytorów, których bardzo wielu ex tabula potioritatis pospadało. Kapituła nasza Gnieźnieńska, na kapitałach swoich prymasowi temu powierzonych znacznie szkodowała. Przyszło do téj ostateczności, że kapituła musiała brać

w dług książki, których było około sztuk trzydzieści, a najwięcej między niemi lékarskich, i kołnierzyki na szyję, których było tuzinów 10. circiter. Należytość zaś na fabrykę kościoła metropolitalnego, z dóbr arcybiskupich, prawem i zwyczajem obwarowane, oraz annus gratiae, ex vacante sede, przepadły.

Przez całe ośm lat konfederacyji Barskiej, musiało się tak kierować, jak wygnaniec, choć w ojczyźnie swojej, i musiało się chronić napaści, tak od swoich współbraci konfederatów jak od Moskali. Więc, jako wyżej namieniłem, tułałem się przez ten czas z miejsca na miejsce. Dopadłem do Lubinia. A jednego razu musiało się uciekać na pogranicze z Gniezna, i osieść u O. O. reformatów w Osiecznie. Takie to było w tych czasach uciemiężenie.

Nadszedł potem z Boskiego miłosier-

dzia Rok 1777^{my}, rok pokoju, którego dotąd używamy. Ale że się przez ów czas zamieszek nie mało straciło, postanowiłem zmenażować się, dzieląc prowenta moje, jakie były na cztery części, to jest: dwie części na poratowanie, czyli podźwignienie upadłych fortun, trzecią część na fabryki kościelne, a czwartą część na własną potrzebę.

Pobłogosławił Pan Bóg intencyjom moim, bo jednak żyję i żyję uczciwie, a co się tycze fabryk kościelnych, do których mię w dzieciństwie mojem już coś pociągało, tych wykonałem dziewiece, albo restaurując, albo z nowa kościoły stawiając, albo przynajmniej do uposażenia ich jakiegoś się przyczyniając.

Ja przecież wstydzę się, że tak mało dla czci i chwały Boga z darów jego się ofiarowało, aleć też jeżeli się Stwórcy memu podobać będzie, jeszcze mię na który rok w tém więzieniu życia doczesnego zatrzymać, to, mam gorącą

chęć na kaplicę familiji Łubieńskich, ku jak najpiękniejszemu ozdobieniu jój jeszcze się przyłożyć, téj zawsze przecieź będąc perswazyji, że to za cud mieć trzeba, jak mi reszta dochodów na moją sustentacyą, czyli utrzymanie wystarczyć może. O opatrności Twórcy mego!

ROZDZIAŁ XV.

O Prymasie Ostrowskim.

Za rządów prymacyjalnych książęcia Ostrowskiego, to, co się do mnie stósuje, należy mi podać ku pamięci. Pan ten od początków, kiedy jeszcze w malym był stanie i potém we wszystkich stopniach, przez które postępował, miał serce do mnie. Jak odebrał nominacyją na prymasostwo, powinszowałem mu w Wolborzu, gdzie mię zaraz nie tylko obo-

winnym godności prymacyjalnej uparłem się jako kanonik téjże kolegiaty. Czyż to stać może przyzwoicie **JO. Panie**, rzekłem, żeby ta struktura przez poganów monarchów *Polskich* na bałwochwalstwo wystawiona, a potem przez najpierwszego monarchę chrześcijanina z bóżnicy na kościół obrócona z ziemią zrównana była? Jak wywracać te mury,, w których pierwszy wyznawca wiary świętej *Mieczysław I.* chrzest podobno przyjął! Któż lepiej opowiadać może pierwsze miejsce przyjętej w kraju *Polskim* Chrystusowej religiji, jak te kamienie *Lapis de pariete clamabit?* które głosem rzetelnym, głosem żywym, od lat prawie tysiąca podają potomności nieodmienną tradycyją.

Na tę radę moją Prymas: A któż to zrobi? z kąd koszt? Gdzie fundator? Odpowiadam: być to może, że ja przy pomocy *Boskiej*. Do téj rezolucyi pobudką mi było ekonomika moja, potem powinność kapłańska jako kanonikatęj

wieżował, ale nawet prawie prosił, żebym sobie przy boku jego wybrał urząd, jaki chcę, i przyjął go; ale ja tego nie chciałem przyjąć, tylkom sobie zamówił u pana tego, aby interesowania moje za kim, jeżeli będą sprawiedliwe, względnie przyjmował. A to mi obiecał, i dotrzymał.

Dosyć mi tu wyrazić dwie promocyje na koadjutoryje do moich kanonii jedną Gnieźnieńską dla ks. Kazimierza Łubieńskiego, z wdzięczności mojej ku jego familiji, na drugą Kaliską dla ks. Andrzeja Kitowicza. I obie mi dał ten zacny pan mój i łaskawca.

Prymas ten, po uroczystym ingresie do archikatedry, i po wykonaniu juramentu personalnego w kapitularzu, determinował się znieść dwa kościoły spustoszone, to jest: kolegiatę Ś^o Jerzego, i kościół Ś^o Stanisława. Rozebrano więc ten ostatni, ale co się tycze kolegiaty Ś^o Jerzego, z respektem

kolegijaty. Naostatek takie trafunkowe napomnienie: Kiedym jednego razu do katedry na powinność koło téj kolegijaty przechodził, kamień z wierzchu facyjaty urwał się, padł na ziemię, i podtoczył się pod nogi moje. Takowy przypadek tchnął mię napomnieniem świętém, żebym jako starozakonny Jakób w piśmie świętém: *Erexit lapidem in titulum*, wskrzesił tytuł tego domu świętego. Bóg zaś tak pobłogosławił chęciom moim, które zapalił, że we dwie lecie, stanęła taka, jaka się dziś daje widzieć, kolegijata. O daj to Boże! żeby w tym stanie wiekami zachowana była!

Powinna tu brać rozumna ciekawość rodowitych Polaków i cudzoziemców, co za pobudkę miano, że zaraz od samych początków wiary świętej w Polsce, poświęcono tę lechową bóżnicę na kościół pod tytułem Ś^g Jerzego? Ja na to przyznaję się, że nie umiem odpowiedzieć z

niniejszych kronikarzów i dziejopisów polskich, których na ten koniec zawarowałem. Ale jako domniemania o wszystkich początkowych rzeczach (zwane prawie *praesumptiones fortes*) są przyjęte u wszystkich narodów, tak bierz miarę czytelniku w tej ciekawości z mego zdania, które ci otwieram.

Ś. Jerzy w kościele wschodnim w szczególném był i jest dotąd poszanowaniu, a kraje Greckie miały zawsze tego świętego za wodza, protektora, i patrona wojsk i krajów swoich. Zakony świeckie, jako to ów Tymplaryjuszów i dzisiejszy Maltański szczególnie także do niego miawały nabożeństwo.

Za tym przykładem, jak się zdaje, idąc Mieczysław 1^{szy}, aby wiarę chrześciańską pomnożył, obrał sobie i rodowi swemu polskiemu, za najpierwszego patrona Jerzego świętego, jemu więc tę bałwochwalnicę Lecha i nastę-

pców Lecha na kościół pierwszy w Polsce poświęcił. Aby jednak to moje zdanie nie na samém tylko domniemaniu, presumpcyji i konjekturze oprzeć, jako ten monarcha obrał sobie i państwu swemu Ś^o Jerzego za patrona, dowodzę téj prawdy, dwiema przywilejami od następców jego książąt polskich kościołowi metropolitalnemu gnieźnieńskiemu danemi, w archiwum kapitularym do dzisiaj zachowanemi (a) a, na których to przywilejach, nie orzeł, nie in-szy obraz, ale na pieczęciach ich, wyraz Ś^o Jerzego jest wyciśniony. Co zaś szczególniejsza, że na pieczęci jednego z tych dwóch przywilejów, takie bez wszelkiej odmiany żywe piętno jest, jakie jest w samym starodawnym obrazie tego patrona, w kolegijacie i ołtarzu jego, tak dalece, że zgadnąć

(a) Niewiadomo nam, czyli te przywileja dotąd się dochwały. P. W.

trudno, czyli obraz ołtarzowy służył za abrys do pieczęci na przywileju, czyli pieczęć przywilejowa służyła za abrys do wymalowania obrazu ołtarzowego?

Ta moja uwaga nigdy przedtém od nikogo nie miana napelniła mię pociechą i utwierdziła mię w tém, że Ś. Jerzy jest najpierwszym państw polskich patronem.

Przy tak ważnych powodach mógłem-że dopuszczać rozwalin tego świętego domu? Pan najwyższy całego świata, dawca wszystkiego, przyjął łaskawie od poddańczuka swego to dzieło, ten zółd, tę ofiarę, kiedy w kolegium ks. ks. wikaryuszów, które tuż stoi przy téj kolegijacie, słyszano podczas reparacyi jój przedziwne, melodyjne śpiewania i głosy, przededniem. O tém także zeznaje ks. Szymon Kulczewicz wikary, świadek na uszy swoje téj niebieskiej harmoniji. Drugi także wikary

powiadał mi, że stojąc w sieni swojej słyszał po rusztowaniach mularskich około tego kościoła, niby chodzące osoby, rękami poklaskujące, jakie to poklaskiwania, zwyczajnym są znakiem radości, wesela i ukontentowania, a ja niegodny tego dzieła aktor mówię: Niech to będzie na Boską chwałę, i na uczczenie S^o. Jerzego: Te deum laudamus.

Pod rządem wspomnionego wyżej prymasa Ostrowskiego, powstała burza na kapituły kadetralne. Ks. Naruszewicz, exjezuity, biskup koadjutor smoleński, podał do Króla i Rady nieustającej notę z propozycjami, aby prałatom i kanonikom, na usługach Ojczyzny zostającym, wszystkie zasługi i salaria, za msze i anniversarze, z skarbu kapitulnego wypłacano, choć nie przyto-
mnym tak, jak gdyby oni aktualnie przy swoich katedrach mieszkali. Notę takową Rada nieustająca do wszystkich

kapituła rozesłała, i na nie odpisać zaleciła. Padł na mnie staruszką los, abym od mojej kapituły odpisał na tę notę królowi i radzie; ułożyłem więc od niej odpowiedź, za którą mi kapituła dekretem swoim zapisała podziękowanie; a król z radą odrzucił propozycją księdza Naruszewicza, jako krzywdzącą prawa kościelne.

Prymas ten Ostrowski, o którym tu mowa, wsławił się przez zaprowadzoną do dóbr arcybiskupich ekonomikę i fabryki znaczne, na które miliony wyłożył, między któremi górę biorą pałac w Wolborzu i pałac dla prymasów w Warszawie: mojem zdaniem przyzwoitsze pompe, i wspaniałości monarchów, niżeli skromności biskupów. Kościoły postawił dwa; jeden w Wolborzu, drugi w Skwerniewicach, na kształtny bardzo sposób. Obadwa kosztem wielkim.

Chcąc wzmocnić i poratować zdro-

wie swoje, utracił ten prymas życie za granicą, w Paryżu przy lékarstwach sławnéj tamécznéj akademiji doktorów i tamże w Paryżu jest pochowany. Testament własnoręczny w Senacie Frankfortskim autoryzowany, lubo od sukcesorów jego zadysputowany, w Trybunale i w Radzie nieustającéj sprawiedliwie przyjęty został.

Pan ten, z chudego pacholka od burki konfederackiego towarzysza przyszedł do purpury, i osiadł krzesło najbliższe boku i tronu królewskiego. To go jednak w pychę nie wynosiło, ale owszem z pokory nie tał on małego przeszłego stanu swego, i często go głosił.

Ostrowski prymas każdemu był przystępny, każdego otwartemi rękoma przyjmował. Nikogo od stołu swego niewyłączał; czy to był szlachciec ubogi, czy pleban, czy wikary, miał stółek, miał honory i objad u stołu pańskiego, a kiedy godzinę jego minął, zaraz wołał:

dajcież mu wszelką wygodę. Bywało to, że staruszką kapłana, obok siebie na kanapie sadzał, i głowę mu nakrył, i wstawać mu nie pozwalał, choć sam stał, albo chodził.

Niemiał ten pan nauki, ani umiał prawa, ani teologiji, ani języków (tylko coś troche); nie powstał ani we Włoszech ani w Francyi (dopiero po śmierć), ale był bardzo czynny, sprawny (a to go było wziętym uczyniło u kardynała Lipskiego, i Załuskiego krakowskich biskupów); był we wszystkiem przezorny, mowny i męszczyzna przystojny, żywy, i dorodny, a w ekonomiji królem mógł być nazwanym, na którą wielełożył, i z niej wiele pożytkował, bo inaczej z zwyczajnych intrat nigdyby był nie wystarczał.

Mądrym się zdawał, nie będąc nim w gruncie, a tego nikt nie postrzegł. Nie będąc uporny, zdawał się przystawać na wszystko, a przystając na wszy-

stko, jemu samemu zdania jego przyznawać należało, bo się całe wydawało, jakby jego własne były, i od nikogo nie pożyczane. A ten humor jego nie wydawał się mieć jaką obłudę, bo też w samej rzeczy ten Pan był szczery i otwarty; a jeżeli się kto na nim zawiódł, to, to nie była wina jego, ale wina podrzędnych jemu oficjalistów. Te to przymioty wyprowadziły stopniami książęcia Ostrowskiego na szczyt prymacyjalnej godności.

W tej wolności, którą każdy kanonik powinien mieć do swego biskupa, i w tej respektującej poufałości, mówiłem mu jednego razu prywatnie; „*Mości księżę, te pyszne fabryki, te niezmierne koszta, na którełożysz, służą pompie światowej ale nie chwale Boskiej, nie oblubienicy W. ks. Mości kościołowi Gnieźnieńskiemu.*” Na co w ten czas prymas zamilkł, ale potem w kapitułarzu Gnieźnieńskim publicznie w gronie całej ka-

piły wymawiał mi, z wszelką jednak łagodnością, to moje siebie napomnienie, przydając z uśmiechem, że o tym swoim kościele ma pamięć *).

Po śmierci księdza Ostrowskiego postąpił na prymasostwo książę Michał Poniatowski, biskup płocki, brat królewski.

(Tu koniec kładziemy niniejszemu dziełu, które autor do końca życia swego pisał. Nie sądźmy przecież, aby ostatnie lata jego pamiętników zajmować czytelnika mogły). Wydawca.

*) Tyle ta moja rada sprawiła przy łasce Boskiej nie importune, ale opportune, że wieże kościoła metropolitalnego kosztem prymasa tego miedzią pokryte zostały.



swój kościół ma pamiętać*).

Poniatowski, biskup płocki, brat kró-
la, na przynależność księża Michała
Po śmierci księcia Ostrowskiego po-

go pisał. Nie radziemy przeoczyć, aby
działa, które antoż do końca życia swe-
(Tu koniec kładziemy niniejszemu
lewski.

W drukarni Henryka Richtera.





E[✿] 264363

KSIEGARNIA
ANTYKWARIAT



E ✿ 264363
XXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

5027 S



001-005027-00-0